płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31 · X · 1986 | 21

Fot. Jacek Łopuszyński

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Czyżbyś zapomniał, że pies jest najlepszym przyjacielem człowieka?!

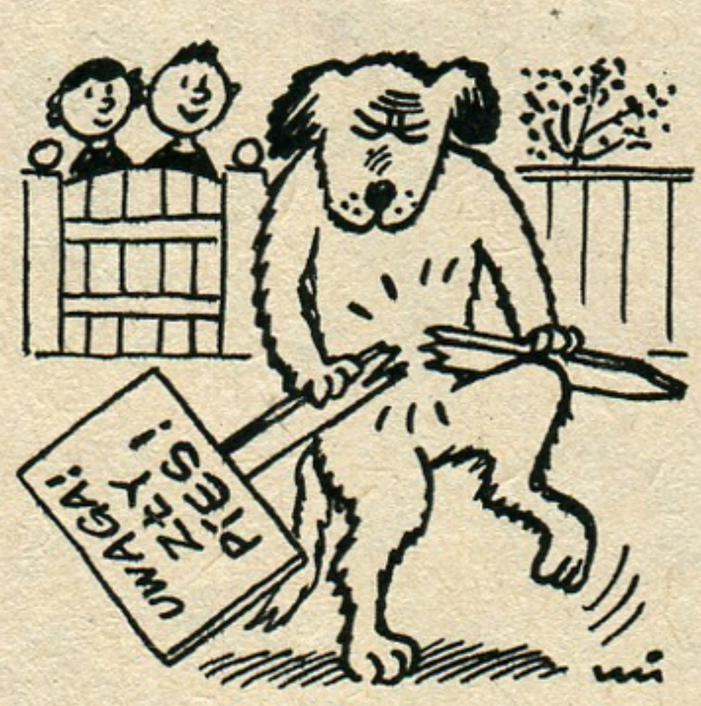

— Widzisz? Postanowił się zmienić!

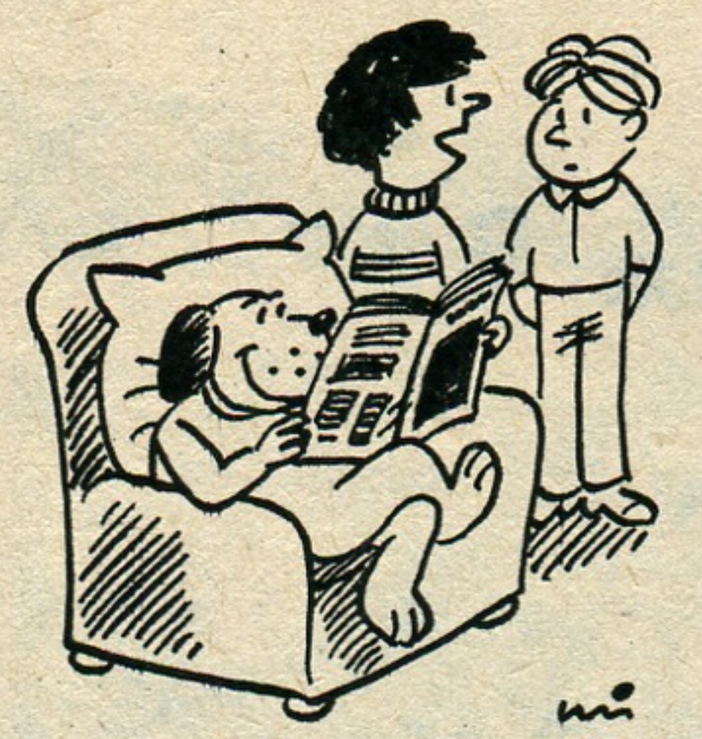

— Tak jest od czasu, gdy mu przeczytałem wydrukowany w „Płomyczku" wiersz o psach!

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

PIERWSZYM krajem na świecie, gdzie wprowadzono podatek od hałasu, jest Japonia. Będą go płacić pasażerowie samolotów odrzutowych startujących i lądujących na lotniskach japońskich. W ten sposób rząd japoński zamierza uzyskać fundusze na... zwalczanie hałasu.

●

PIERWSZE latarnie gazowe zapłonęły w Warszawie 1 maja 1856 roku. Z czasem zostały wymienione na elektryczne. Jednak w naszej stolicy pozostało jeszcze 188 latarni gazowych, które jak przed laty zapalają i gaszą trzej latarnicy.

●

PIERWSZA książka techniczna w języku polskim ukazała się w 1566 r. w Krakowie. Była to „Geometryja, to jest miernicka nauka". Autorem jej był profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego — Stanisław Grzepski.

●

PIERWSZE TABLICE z numerami, widniejące na każdym domu, wprowadzono w Warszawie w roku 1784. Numerację rozpoczęto od zamku królewskiego i kolejne numery nadawano domom nie podając nazw ulic.

PIERWSZYM krajem na świecie, w którym cukier i spirytus techniczny wytwarzać się będzie ze... słomy, jest Dania. Technologia produkcji cukru ze słomy znana była już dawno, ale produkcja była nieopłacalna. W Danii jest jednak tak dużo słomy, że można wytworzyć z niej 6 razy więcej cukru, niż wynosi zapotrzebowanie ludności tego kraju.

●

PIERWSZY program telewizyjny w Polsce nadano 1 maja 1956 roku. Antena TV zainstalowana była wówczas na iglicy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. W 1957 r. było w naszym kraju niewiele ponad 19 tys. telewizorów. Obecnie jest zarejestrowanych w Polsce 7 i pół miliona odbiorników telewizyjnych.

●

PIERWSZY w Polsce zbiór zagadek został wydany w 1552 r. pt. „Gadki rozmaite, którymi rozum ludzki może być naostrzon".

Najstarszy wydrukowany polski rebus pochodzi z 1688 r. Krzyżówkę po raz pierwszy zamieszczono w „Kurierze Codziennym" w 1885 roku.

Nasza okładka:

Jesienne święto latawca

LECIAŁY CIENIE

Leciały cienie
przez jesienne milczenie,
cichutkie,
żółciutkie.

Pytały cienie
malutkie,
cichutkie
niebo i ziemię.

Gdzie nasza dąbrowa?
Gdzie matka rodzona,
olszyna zielona?

Ziemia była niema,
niebo było nieme.

Leciały cienie
przez jesienne milczenie.

Danuta Wawiłow
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

O wielkim kochaniu zakutym w myśliwskie łańcuchy

Człowiek, który w życiu doświadczył tego i owego, jedno wie na pewno: żeby zrodziło się wielkie kochanie, we właściwej chwili musi chłopak zobaczyć dziewczynę, dziewczyna zaś musi zobaczyć chłopaka. Inaczej być nie może.

A tak właśnie stało się tamtego jesiennego popołudnia w Łomży. I to gdzie! Nie pośród herbacianych róż w ogrodzie imć pana starosty, nie w urokliwym zakątku u stóp rycerskiego zamku i nie w gaju słowiczym nad samym brzegiem Narwi, lecz pośrodku hałaśliwego rynku, pełnego kurzu, końskiego potu, ujadania kundli, nawoływania przekupek, bełkotania moczywąsów i w ogóle targowego zgiełku.

Dzień ów już od świtu zapowiadał się niezwyczajnie.

Z rana, zaledwie straże rozwarły bramy w murach obronnych, do miasta wdarł się łoś. Potężny zwierz z rogami niczym chlebowe łopaty piekarza Serwatki. Wypłoszony przez wilki z mokradłowej wierzbiny przegalopował na wylot przez caluśki gród i popędzany okrzykami nocnego stróża i szczekaniem psów przez drugą bramę pognał do puszczy. Zaraz potem na podzamczu pojawił się wściekły lis. Na szczęście nie zdążył nikogo pokąsać. Padł od pierwszego strzału Bartłomieja Pajki, rusznikarza z drużyny łowieckiej królewskiego starosty.

Jakby tego było nie dość, na moście rozpoznano kulawego zbója z boru, przysłanego przez kamratów zapewne na przeszpiegi. Z triumfalnym wrzaskiem pochwycono leśnego kulawca, skrępowano rzemieniami i wtrącono do loszku pod wieżą. Zanim stanie przed sprawiedliwym sądem rajców miejskich, wpierw niechaj posmakuje ciemnicy.

Nieco później rynek zapełnił się chłopskimi furmankami oraz szlacheckimi taradajkami i powozikami ciągnącymi z okolicznych majątków na jarmark, tak, że o niezwykłych porannych wydarzeniach powoli zapomniano. Przynajmniej na kilka najbliższych godzin.

Z pobliskich parafii na łomżyński rynek przywędrowali również kościelni żebracy oraz dziady i baby cmentarne. Jedni i drudzy w poszukiwaniu miłosiernego grosza.

Porządny mazowiecki jarmark trudno też sobie wyobrazić bez udziału Cyganów. Bez kabały stawianej z kart i wróżb z otwartej ręki, bez handlu patelniami i rondlami cudnie bielonymi na sposób znany jeno starym Cyganom. No, i bez tradycyjnego cygańskiego widowiska dla dzieci i dorosłych: tresowanego niedźwiedzia, tańcującego pociesznie w takt bębenka z brzękadełkami.

Dzisiejsi cygańscy goście wędrowali taborem od miasteczka do miasteczka, od jarmarku do jarmarku, od odpustu do odpustu. Najpierw odwiedzili Pułtusk, potem przebywali w Ciechanowie, w Przasnyszu, a także w Ostrołęce, aż wreszcie dotarli i tutaj. Obozowisko rozbili na skraju lasu po drugiej stronie Narwi. Do grodu przeprawiali się albo przez most, gdzie jednak trzeba było płacić myto za przejazd, albo łodzią miejscowego piaskarza, bo ociupinę bliżej i darmo, jedynie za wróżenie z ręki.

Prawdziwe nieszczęście wydarzyło się znacznie później, o godzinie czwartej lub piątej po południu, kiedy handlowa gorączka na rynku zaczęła powoli opadać. Ten, co chciał coś kupić, już kupił, ten zaś, co chciał coś sprzedać, już sprzedał. A ponieważ każdą udaną transakcję wypadało zapić kuflem piwa albo szklanicą miodu, i kupujący, i sprzedający wraz z umykającymi kwadransami znajdowali się w coraz lepszych humorach.

Sędziwy Cygan dobrze wiedział, co czyni, właśnie teraz wyłażąc ze swoim tresowanym misiem na środek rynku. Słysząc bębenek i tamburynowe brzękadełka niedźwiedź — olbrzymi, stary kudłacz z łbem wielkim jak garniec — wyprostował się i począł tańczyć na dwóch łapach, uciesznie przy tym podrygując, kiwając głową do taktu i obracając się raz w tę, raz w drugą stronę.

Bosonogie czarnookie Cyganiątko uwijało się wśród rozbawionego tłumu zbierając miedziaki do cynowej miseczki. Dostawało także kawałki cukru, suszone i przypalane pestki dyni, pierniki z lukrem, a również i inne łakocie, które skrzętnie chowało za koszulę.

Nic nie zapowiadało tragedii, gdy nagle jakaś łomżynianka miastowym zwyczajem wychlusnęła za okno wiadro pomyj. Pech chciał, iż wprost na niedźwiedzia.

Przestraszone — a może i poparzone? — niedźwiedzisko wyszarpnęło łańcuch Cyganowi, zerwało żelazny kaganiec z pyska i z gniewnym rykiem rzuciło się na ludzi.

Popłochu, jaki wtenczas powstał, opisać się nie da żadną miarą. W okamgnieniu wokół bestii zrobiło się pusto.

Akurat w tej samej chwili u wylotu ulicy prowadzącej od mostu do rynku pokazał się lekki powozik ze stangretem na koźle i panną stolnikówną siedzącą z tyłu. Na widok dzikiego zwierza przerażony koń stanął dęba, po czym zawrócił gwałtownie i kwicząc z obaloną bryczką pognał w stronę Narwi. I woźnica, i dziewczyna wypadli na bruk.

Rycząc przeraźliwie niedźwiedź skierował się ku stolnikównie leżącej bez ruchu i porozrywałby ją zapewne na strzępy, gdyby nie nieoczekiwana pomoc.

Na rynku nie wiadomo skąd pojawił się młody puszczak i jednym susem zagrodził bestii drogę. Zwierz zawahał się na ułamek sekundy i to go zgubiło. Młodzian, dla którego śmiertelne zapasy z kosmatym w borze nie były pierwszyzną, błyskawicznie doskoczył i uderzył sztyletem. Celnie. Niedźwiedź zwalił się martwy na ziemię.

Tuż potem nastąpiła owa chwila, o której wspominaliśmy na samym początku. Zaledwie łomżyński pigularz docucił dziewczynę, zaledwie otworzyła oczy, spojrzała z wdzięcznością na swego wybawcę. Od pierwszego wejrzenia zakochała się w dzielnym bartniku. Z wzajemnością, albowiem w szlachciance zakochał się również i puszczak, choć ona była bogata, a on biedny niby mysz kościelna.

Kiedy Maćko Puchała, strzelec królewski z Zagajnicy, zorientował się, co w trawie piszczy, usiłował przestrzec serdecznego druha.

— Starego stolnika znają wszędzie jako człeka twardej ręki i bezwzględnego serca. Nadto dumnego ze szlacheckiego herbu i rodowych klejnotów, ażeby dla samej jeno wdzięczności chciał zgodzić się na małżeństwo swojej córki ze zwyczajnym bartnikiem z Puszczy Zagajnicy. Wybij sobie z głowy zamożną szlachciankę, Bartoszku, zanim nie będzie za późno.

Na wszystkie te rozumne ostrzeżenia i rady Bartek Sękacz odpowiadał niezmiennie:

— Może masz i rację, Maciusiu. Może stolnik i taki. Spróbować jednak muszę. Bo jakże mi żyć dalej bez wielkiego kochania?

Pewnego dnia młodzian podjął trudną decyzję. W niepewności dłużej czekać nie chciał. Ubrał się odświętnie, wziął nową lnianą koszulę i nowiuśki kaftan z łosiowej skóry, a następnie pomaszerował do cyrulika Mateusza, który prowadził niewielką balwiernię w samym rogu łomżyńskiego rynku, aby go wygolił i postrzygł z francuska na podobieństwo starościcowej fryzury. Odświeżony i pachnący udał się wprost do dworu, aby prosić o rękę dziewczyny. Bo zgodę jej samej miał już od tygodnia.

Pan stolnik z początku przyjął Bartka Sękacza łaskawie jako wybawcę jedynaczki, lecz kiedy usłyszał, co go sprowadza do dworu, poczerwieniał na gębie, jakby za moment miał paść ofiarą apopleksji, i wrzasnął gniewnie:

— Oszalałeś, leśny diable? Rozum ci odjęło? Miarę straciłeś? Mniemałem, iż pragniesz prosić mnie o tłustego wieprzka, krówkę albo cielaka, konia nawet. Bo, nie powiem, należy ci się nagroda za przysługę. Co innego wszakże chrześcijańska wdzięczność, co innego małżeństwo z moją córką. Szlachciance za byle chłopka iść się nie godzi. A tym bardziej szlachciance dobrze urodzonej, po krakowskich szkołach, i do tego majętnej. Nie dla psa kiełbasa, leśny diable.

Bartek podniósł głowę.

— Nie jestem byle chłopkiem z czyjegoś folwarku. Nie jestem niczyim poddanym — odpowiedział z dumą. — Do puszczy królewskiej należę. Wolnym jako ptak leśny. Jako sokół albo orzeł królewski.

— Patrzcie, ludzie zacni, a to mi się trafił zuchwalec bez granic. Poczekaj, dam ja ci zaraz królewskiego sokoła czy orła. Podobnej bezczelności nie zdzierżę, jakem Onufry Kłopotnicki. Nie po to, leśny diable, herb szlachecki odziedziczyłem po moich dzielnych przodkach

i na tarczy z dumą noszę, abym umiłowaną jedynaczkę musiał oddawać bosonogiemu borsukowi z nory u jakiejś zwiędłej sosny albo inszego spróchniałego dębu.

Rzekłszy to pan stolnik wychylił się z ganku i zawołał w stronę stajni:

— Piotrek, Walek, nuże do mnie! Migiem, darmozjady! Przepędzić mi tego borsuka pieseczkami!

Widząc nadbiegających dwóch parobków i całą sforę psów, Bartek wolał nie czekać. Ledwie umknął za wrota przed zębiskami ogromnych, na wpół dzikich brytanów.

Zrozpaczony uszedł do boru, gdzie miał bartniczą budę. Zajął się pszczołami i zbieraniem miodu. Niewtajemniczonym mogło się wydawać, iż zrezygnował z dziewczyny.

Ale któregoś dnia z dworu zniknęła też i stolnikówna. Potem okazało się, że uciekła za młodym do puszczy. Ktoś ich ujrzał razem w gaju i o niezwykłym spotkaniu opowiedział komuś innemu na łomżyńskim rynku. Oczywiście, w głębokiej tajemnicy. Jednakże ten ktoś inny nie utrzymał języka za zębami i o wszystkim rychło wypaplał w karczmie. Wkrótce nowina rozeszła się po okolicy i dotarła do stolnika. Stary szlachciura natychmiast wysłał wiernych pachołków na poszukiwania do Zagajnicy.

Po tygodniu do dworu przygalopował jeden z parobczaków wrzeszcząc na całe gardło:

— Waszmość panie stolniku, mam! Waszmość panie, znalazłem młodych. Siedzą pośród świerczyny w lesie niczym kreciska w ciemnej norze. I ona, i on.

— Gdzie, bałwanie? Mów dokładniej. W której części boru? — stolnik zerwał się z ławy.

— Zaraziutko za Myszyńcem, waszmość panie. Na niewielkiej polanie tuż przed elektorską granicą. Dobrze zapamiętałem owo miejsce. Poprowadzę do ichniej kryjówki choćby z zawiązanymi oczami.

— Wołaj czeladź. Niechaj każdy siodła konia. Tylko szybko, bałwanie.

— Mężu mój, nie krzywdź córki — stolnikowa z płaczem wielkim podbiegła do okna. — Daruj im. A przynajmniej oszczędź naszą Alinę.

Lecz stolnik żony słuchać nie myślał, jeno batem smagnął wierzchowca i wściekły wypadł za wrota. Za nim w obłokach kurzu popędziła zgraja jeźdźców z szablami, pałkami i bizunami w garściach.

Młody puszczak w nierównej walce szansy nie miał żadnej. A może nie chciał bronić się, by nie narażać życia dziewczyny? Kiedy osaczono go w leśnej chacie, jak nie przymierzając niedźwiedzie szczenię w barłogu, wyszedł z podniesionymi wysoko rękami. Od razu związano go sznurami i na postronku popędzono przed końmi. Do Myszyńca. Na plac przed kościołem.

Dlaczego właśnie tam? Ano, były ku temu dwa powody. Pierwszy, bo to po drodze. Drugi zaś, bo w Myszyńcu u kościelnej wieży znajdowały się metalowe kuny. Kuny, czyli przykute do muru specjalne łańcuchy z żelazną obręczą, którą zakładano na szyję przestępcy.

Modę na kuny przynieśli do puszczy chyba jezuici, budujący tutaj siedzibę dla członków swojego zakonu. Może być kuna przy drzwiach kościoła Panny Maryi w królewskim Krakowie, dlaczego nie miałaby być i w jezuickim Myszyńcu?

U stóp kościelnej wieży stolnik nakazał włożyć puszczakowi na szyję żelazną obręcz i zamknąć na kłódkę. Klucz wrzucił do kieszeni żupana. Niechaj zuchwalec postoi kilka godzin niczym kundel na łańcuchu. Później zobaczy się, co z nim robić dalej. Wściekły, nie oszczędził również i córki. Drugą kunę jej kazał założyć. Niechże sterczy obok leśnego zbira, niechże ukazuje światu swoją sromotę, swoją hańbę. Oto kara za sprzeciwianie się świętej woli ojcowskiej.

Gdyby tu była matka dziewczyny, może by się szlachciura opamiętał. Niestety, stolnikowej w Myszyńcu nie było. Zległa ciężko chora w podłomżyńskim dworze.

Jakby tego wszystkiego stolnikowi było mało, jednemu z hajduków polecił stanąć z pełną sakiewką obok zakutego w żelazo puszczaka i wręczać po monecie każdemu, kto splunie na uwięzionego. Drugiemu rozkazał wleźć na beczkę i zachęcać gapiów, by się nie lenili.

— Kto splunie na draba z dzikiej puszczy, dostanie do ręki miedziaka — darł się więc ten na podwyższeniu. — A kto ciśnie weń kamieniem, otrzyma wnet srebrnego talarka.

Pieniądz człekowi zawsze jest potrzebny niby rybie woda. Jednakże współczucie dla młodej pary okazało się stokroć silniejsze. Pośród myszynieckiej gawiedzi nie znalazł się nikt, kto połakomiłby się na miedź albo na srebro. Jedynie kulawemu Jacentemu, głupkowi bez pięciu klepek, zamarzyły się darmowe pieniążki. Już się pochylił po brukowiec, już w płuca nabrał powietrza, lecz ni splunąć, ni cisnąć kamieniem nie zdążył. W tej samej chwili dopadły go straganiarki z miotłami. I przegoniły, gdzie pieprz rośnie.

Tymczasem stolnik gościł na plebanii. Zjadł barszcz czerwony z uszkami, zjadł w spokoju indyka z boróweczkami, ale już przy deserze i kielichu wina proboszcz zaczął go przestrzegać:

— Nie czyń gwałtu w Myszyńcu, mości stolniku. Nie przelewaj krwi przed kościołem. Grzech to byłby śmiertelny. Nie godzi się grzeszyć w świętym miejscu. Nie godzi, mości stolniku.

Kiwnął szlachciura głową, że niby się zgadza, podziękował plebanowi za jadło i wyszedł przed kościół.

— Odprowadźcie teraz chłopaka do lasu — głośno nakazał hajdukom. — Tam puśćcie go wolno. Od dziś niechaj łotr naszą Łomżę omija z daleka. Jeśli pojawi się w mieście, każę go pochwycić, wybatożyć jak należy i wtrącić do wieży. Zgnije w lochu, świata bożego nie ujrzy więcej na oczy. Dziewczynę zaś wsadzić mi natychmiast do bryki i odwieźć do domu. Potem zdecyduję o jej losie. Albo oddam ją za mąż za podkasztelana, starucha powykręcanego przez reumatyzm niby stara wierzba, albo oddam ją do klasztoru na chleb i wodę.

Następnie pochylił się ku starszemu z hajduków i coś mu szeptem wyłożył.

Zgodnie z poleceniem swego pana słudzy odprowadzili nieszczęsnego bartnika do lasu. I pewnie by go tam skrycie ubili, gdyby nie myszynieckie baby. Staruchy i młódki, które od początku współczuły zakochanym i podejrzliwie przyglądały się szeptanej rozmowie stolnika z zaufanym sługą, na wszelki wypadek towarzyszyły biedakowi aż na skraj boru.

Wobec świadków wielu łomżyńscy hajducy woleli nie zadzierać z babskim tłumem uzbrojonym w grabie, łopaty oraz miotły. Bez słowa rozwiązali ręce biedakowi i puścili go wolno. Prawda, zamierzali tu wrócić po zmierzchu i wykonać srogi rozkaz do końca. Lecz to im się chyba nie powiodło.

Jak było, tak było. Dziś odgadnąć trudno. W każdym razie prawdą jest, iż chłopaka nikt już więcej nie widział. Ani w Myszyńcu, ani w Łomży, ani gdzie indziej. Jedni powiadali potem, że biedaczysko utopił się w rowie, kiedy zapłakany powracał w ciemnościach na swoją polanę. Inni mówili, że serce mu pękło z wielkiego bólu. Jeszcze inni gadali, że przystał do rozbójników, aby mścić się na bogatych panach za złamane życie.

A co wiemy o dalszych losach Aliny? W przeddzień ślubu z pokręconym staruchem dziewczyna zniknęła ponownie. Tym razem bez śladu. I na zawsze. Jedynie siwowłosa piastunka twierdziła, że nieboga zbiegła do lasu, bo tak kazało jej serce. A tam może wilcy ją zjedli? A może odnalazła w puszczy swojego Bartka Sękacza i wraz z nim zbójowała po drogach w męskim przyodziewku? A może wspólnie wyruszyli za elektorską granicę, ażeby szukać szczęścia na obczyźnie? Co przecież wśród Kurpiów zdarzało się i później.

Przed kościołem w Myszyńcu, u murowanej wieży, pmiętającej czasy króla Jana Kazimierza, ocalały do dzisiaj żelazne ogniwa łańcuchów, w które niegdyś zakuwano biedaków na pośmiewisko innym. Żelazne kuny... Jedyny świadek tamtych wydarzeń i tamtego nieszczęśliwego kochania.

Zdzisław Nowak
Rys. Jerzy Flisak

PRZEKORNIKI

ODKŁADAJĄCY PRACĘ NA PÓŹNIEJ
— zarazek

KONTUAR W BANKU
— czekolada

WYCINANIE GRABÓW
— grabież

ŻARTY Z RĘKAWA WYTRZĄŚNIĘTE
— rękawice

PIES, KTÓRY ZDOBYŁ MEDAL
— merdalista

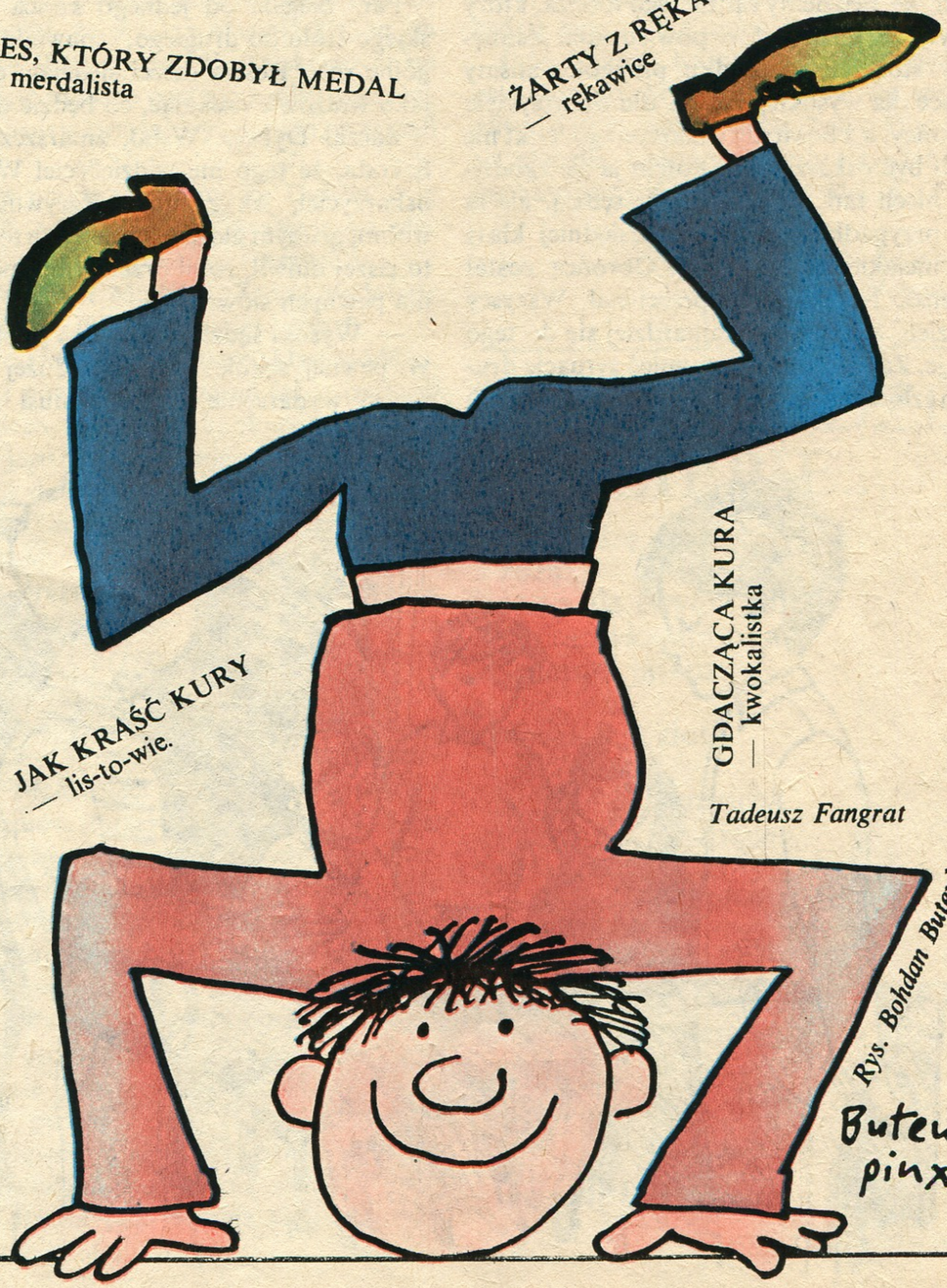

JAK KRAŚĆ KURY
— lis-to-wie.

GDACZĄCA KURA
— kwokalistka

Tadeusz Fangrat

Rys. Bohdan Butenko

Butenko pinxit

WYROK

Pani w świetlicy przeczytała nam jedno opowiadanie z „Płomyczka". Opowiadanie było o pierwszoklasiście, który został pobity przez chłopca ze starszej klasy. Szczegółów już nie pamiętam, ale pani Marylce to opowiadanie tak się podobało, że postanowiła zająć się nim bliżej. Zaproponowała nam zabawę w sąd. — Będziemy sądzić tego łobuza, który skrzywdził malucha! — powiedziała. Zsunęliśmy stoły, a na środku przygotowaliśmy miejsce dla wysokiego sądu, dla oskarżyciela i obrońcy, a z boku dla oskarżonego. Nikt nie chciał być oskarżonym. Potem ja się zgodziłem, niech tam. Chciałem być sędzią, ale ta rola przypadła kujonowi z sąsiedniej klasy B — niejakiemu Burakowi. Obrońcą został Mateusz. Nikt się nie sprzeciwiał. Wszyscy wiedzieli, że on jeden najbardziej się do tego nadaje. Zawsze umie zrozumieć sytuację drugiego człowieka, zawsze w sprawach spornych ma wątpliwości, czy aby druga strona nie ma racji. Inna sprawa, że nieraz oberwał z powodu swojej postawy i nieraz musiał wysłuchać, jakim to on jest tchórzem i mięczakiem. Teraz o tym nikt jakoś nie pamiętał, a wszyscy wiedzieli, że Mateusz jest do tej roli stworzony.

Oskarżycielem został Dybcio. Też dobrze. Pani Marylka wiedziała, kogo wybrać. Ten to ma wymowę! Wszystkich zawsze potrafi przegadać.

Pani biegała od jednego końca sędziowskiego stołu do drugiego, omawiała poszczególne role. Reszta dzieci siedziała cierpliwie jako widzowie czekając, co będzie dalej.

Zaczął Dybcio. Wstał, zmarszczył czoło. Szkoda, że tego nie widzieliście! Wykapany oskarżyciel, jak z filmu. Zgrywus. Zaczął wolno, grubym głosem, umiejętnie to głośniej, to ciszej mówił, robił przerwy dla podkreślenia pewnych słów:

— Wysoki sądzie, szanowna publiczności. W pewnej szkole, w czasie dużej przerwy zaszło wydarzenie, którym musi się teraz

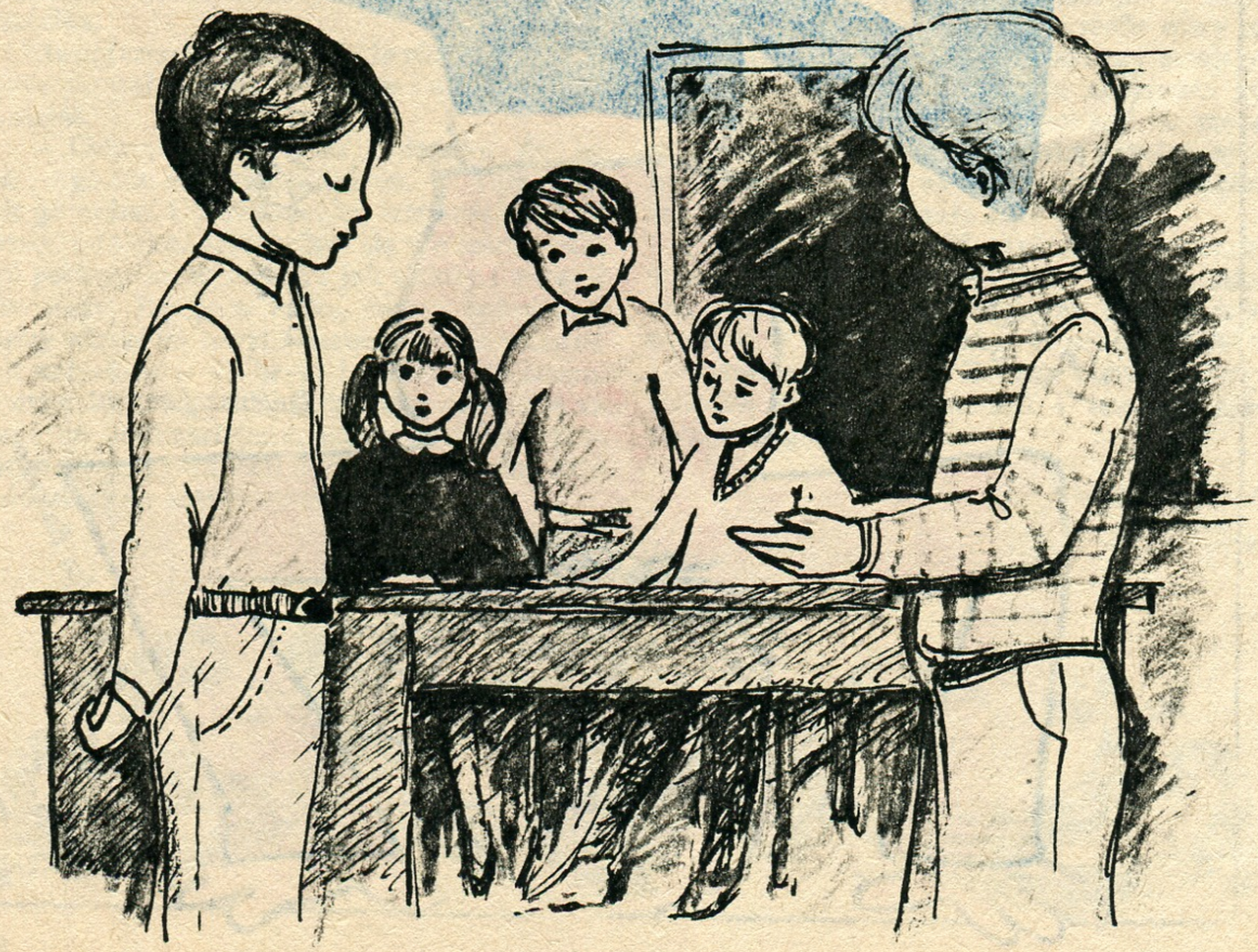

zająć wymiar sprawiedliwości. Uczeń z klasy siódmej, Jan Kowalski, wydawałoby się spokojny i zrównoważony człowiek, skrzywdził bezpodstawnie ucznia z klasy pierwszej, dziecko jeszcze, mniejsze od niego o głowę, a może o dwie. Wprawdzie uczeń ten wołał za nim: „okularnik" i pokazał mu kilkakrotnie język, to przecież nic i nikt nie dał prawa starszemu chłopcu do wymierzania sprawiedliwości na własną rękę! Od tego jest samorząd klasowy i wychowawca! Czy po to męczyli się przez tyle lat wychowując Kowalskiego rodzice i nauczyciele, żeby teraz okazało się, że ich trud poszedł na marne? Kowalski powinien się wstydzić swojego postępowania i z pokorą i zrozumieniem przyjąć wyrok, jaki na tej sali zapadnie.

Trzeba przyznać, że mowa Dybcia była wspaniała i zrobiła duże wrażenie na słuchaczach. Dostał za nią duże brawa.

Potem mówił Mateusz. Zaczął podobnie ak Dybcio, tylko „od drugiej strony":

— Oto Jan Kowalski, uczeń klasy siódmej. Solidny i poważny. Bierze udział w różnych olimpiadach, wygrywa konkursy. Koledzy iczą na jego wiedzę i umiejętności. Nauczyiele mają do niego zaufanie i traktują go jak dorosłego. Cieszy się szacunkiem i podziwem swojej klasy. I nagle, gdy ten zapracowany człowiek pragnie na dużej przerwie chwilkę odpocząć po ciężkiej pracy umysłowej na jednej lekcji i przygotować się do drugiej, pojawia się ten smarkacz z klasy pierwszej A. Tak, nie waham się użyć tego słowa. Smarkacz! Bo kim jest siedmiolatek wobec siódmoklasisty? Małe dzieci powinny darzyć szacunkiem uczniów starszych od siebie. Czy to jest sprawiedliwe, żeby taki maluch mógł bezkarnie przezywać starszego i zasłużonego kolegę? I jeszcze pokazywać mu język?

Pani Marylka chciała coś powiedzieć, ale zerwały się takie brawa, że nie zdążyła. Mateusz dostał większe brawa niż Dybcio.

Potem sąd udał się na naradę. Publiczność zaczęła się już niecierpliwić, słychać było pierwsze gwizdy i tupania. Pani Marylka biegła właśnie za składem sędziowskim, żeby wziąć udział w ustalaniu wyroku, kiedy do sali weszła pani sekretarka i poprosiła Panią do telefonu.

Pani wróciła w chwili podpisywania wyroku. Poprosiła sąd, żeby wygłosił uzasadnienie i podał wyrok do publicznej wiadomości. Brzmiał on następująco:

— Wysoki sąd po wysłuchaniu, co mają do powiedzenia oskarżyciel i obrońca, i po burzliwej naradzie nie dopatrzył się w postępowaniu kolegi Kowalskiego niczego złego, w związku z tym postanawia go uniewinnić i przeprosić.

Uzasadnienie: Ten mały mógł nie zaczepiać i dobrze się stało, że oberwał! Na drugi raz nie będzie zaczepiał! Koniec. Podpisy.

Odetchnąłem, bo nieswojo czułem się w roli oskarżonego. Wyrok wydał mi się sprawiedliwy. Też bym taki wydał. Tylko Pani jakby się zdziwiła, niektórzy koledy też, i już nigdy nie bawiliśmy się w sąd. Szkoda.

Małgorzata Kaliszewska
Rys. Anna Hermelińska

PRZYCHODZĘ DO CIEBIE...

Przychodzę do ciebie
z różą,
lecz to nie zwykła róża.
Gdy zamykałam okno,
rzuciła mi ją burza.

Róża jest złota
jak ogień
i złote oczy mruży,
trzymam ją w ręce
i mówię:
— Patrz, co mi zostało
po burzy.

Może to róża przyjaźni?
Znak między ziemią
a niebem?
Może to iskra
z serc naszych?
Nie wiem.
Doprawdy nie wiem.

Danuta Gellnerowa

ŁUBINY

Łubiny płoną przed zachodem
jak drogocenne kandelabry.
Prężą się dumnie
i smukłą głowę unoszą
w niebo.
I tak do twarzy im
w purpurze,
że aż pobladły zazdrosne gwiazdy.

LATO MALOWANE

Gdy zadymka
w polu gna,
namaluję
słońce, sad,
owocowe drzewa w kwiatach,
łan zielony pełen światła,
a na tej największej kartce —
białe, kwitnące akacje.

Będę lato miał i słońce,
póki farby się nie skończą.

W GOŚCINIE U PTAKÓW

Pukam do klatki z ptakami:
— Czy tutaj mieszka pan Chopin?
Szpak mówi: — Jesteś na dobrym tropie.
Właśnie zdał wczoraj egzamin.

— A kto — pytam — tak śpiewa
na drzewie? Czy to sławny Caruso?
— Caruso? — papuga się gniewa.
— Który? Tu jest ich dużo.

Słucham i uszom nie wierzę:
szczygły, czyżyki i gile
śpiewają bez przerwy wiersze!
Poeci nie piszą ich tyle.

Czekam cierpliwie na ciszę.
Jesień. Dach się zabielił od szronu.
— Ja do słowika!
— Och, słowik już wyszedł,
lecz zaraz przywołam wronę.

Józef Ratajczak

Rys. Wanda Orlińska

A PONIEWAŻ JUŻ JESIEŃ...

A ponieważ już jesień, trochę chłodniej dookoła, więc... na kartce papieru namalujmy sobie słoneczne lato, takie jak w tym wierszu pana Józefa Ratajczaka.

A potem porozmawiajmy z wszystkimi ptakami. I z jakimś suchym badylem w polu, i z tym łubinem, co jak kandelabr płonie żółtymi kwiatami — w wierszu pana Ratajczaka.

I powędrujmy po świecie, w maleńkim — jak winda — wędrującym domu. Aby nam było wesoło i zabawnie, jak w wierszu „Ujeżdżanie windy" pana Józefa Ratajczaka, poety z pięknego miasta Poznania.

Tadeusz Chudy

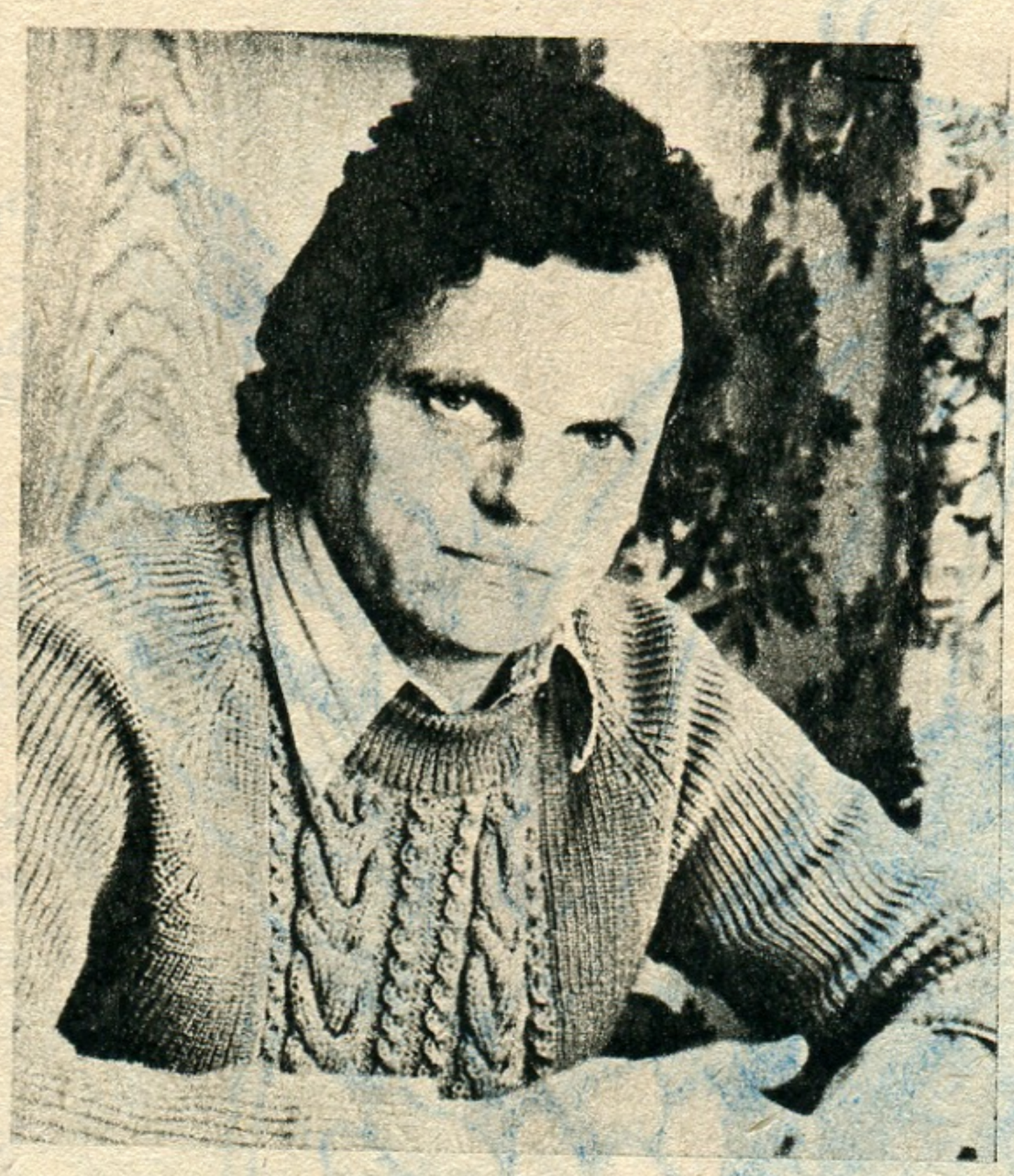

UJEŻDŻANIE WINDY

Józef Ratajczak

W górę i w dół,
bez skrzydeł
i bez kół.
Pod dach
i do piwnicy,
do chmury
prosto z ulicy.

Nawet taki,
co ledwo do trzech zliczy,
ujeżdża teraz windę
i jak konia ćwiczy.

Z piętra na piętro,
jak z procy —
pod gwiazdy,
bez biletu,
bez kierowcy
i bez rozkładu jazdy.

Wdusisz guzik
i już strop. Stop.
Wdusisz i już ziemia.
Dalszej drogi nie ma.

A ja chciałbym
mieć dom,
mały, śliczny,
taki sam jak winda —
o napędzie elektrycznym.

Żeby można za skinieniem ręki
ziemię przebić i przebić błękit.

Żeby można wzbić się jak z wyrzutni!
Myślisz: winda!... A to winda sputnik!

W takim domu
kiedyś zamieszkać!
Świat przemierzać
i wszechświat
ujeżdżać!

O tym marzył
mały człowieczek z ołowiu
i nawet nie bardzo się rumienił,
że jedzie tylko windą
i wygląda z czyjejś kieszeni.

Mozambik

Moja klasa mnie nie lubi. Dziewczyny dlatego, że jestem jak chłopak, a z kolei chłopcy chyba dlatego, że jednak jestem dziewczyną, no, i ta babskość zawsze ze mnie wyjdzie.

Nauczyciele też chyba nie bardzo mnie lubią. Często się zamyślam albo nie mam odrobionych lekcji, albo się spóźniam. Lekcje na ogół są strasznie nudne i wtedy niby wszystko słyszę, ale przypominam sobie walkę kapitana Nemo z olbrzymimi ośmiornicami albo przygody kolonistów z tajemniczej wyspy i właściwie tak jakbym trochę zasypiała. Jest mi bardzo trudno się skupić, jak mówi moja mama.

Jedyny przedmiot, który mnie naprawdę ciekawi, chociaż też nie zawsze, to geografia. Nauczyciel od geografii jest młodszy od moich rodziców i wygląda jak taki starszy chłopak. Można powiedzieć, że jest nawet trochę zwariowany, bo często opowiada nam o różnych dziwnych rzeczach, które są gdzieś na świecie, i stopnie stawia prawie bez odpowiadania. Na ogół to są dobre stopnie. Nie wiem dlaczego, ale pan Rejewski trochę mnie lubi. Czwórka z geografii to była jedyna moja czwórka na świadectwie w zeszłym roku. Drugą miałam ze śpiewu, ale tej się nie liczy.

Kiedyś na geografii pan Rejewski zapytał, kto z nas był z rodzicami za granicą. Nigdy nie byłam nigdzie za granicą, ale wszyscy obok podnosili ręce, więc też podniosłam. Jakoś nie myślałam o tym, co robię. Siedzę w pierwszej ławce i bardzo mnie widać. Od razu usłyszałam za sobą poszeptywania i śmiechy. Kiedy pan Rejewski zaczął się po kolei pytać, kto gdzie był, trochę się przestraszyłam. A z tyłu już ktoś mówił:

— Ona kłamie jak zwykle i zmyśla. Nigdzie przecież nie była.

Wszyscy mówili po kolei, gdzie byli, w jakich miastach i jak długo. Kiedy pan Rejewski zapytał Olczakówny, gdzie spędziła wakacje, to ona zamiast odpowiedzieć, naskarżyła:

— Alka Krzewińska (czyli ja) kłamie. Ona nigdzie nie była za granicą.

Rzeczywiście nie byłam, ale przecież nie kłamałam. Nic nie mówiłam, podniosłam tylko rękę.

Pan Rejewski odpowiedział surowo Olczakównie, że się jej nie pyta, kto kłamie, tylko gdzie była. Olczakówna odburknęła, że w Bułgarii, w Złotych Piaskach, i zamilkła rozzłoszczona. A nauczyciel zapytał mnie:

— A gdzie ty byłaś?

Czułam, że muszę odpowiedzieć jakoś inaczej, żeby nie skłamać, i żeby nie było tak zwyczajnie, żeby się ze mnie nie śmieli. Toteż powiedziałam:

— W Mozambiku, proszę pana.

Trudno opisać ten jazgot, jaki wybuchł w klasie. Pan Rejewski też jakby się śmiał, ale chyba ze złości, bo zrobił się czerwony. Zagryzł wargi, by po chwili uciszyć klasę.

— No, dobrze — powiedział do mnie. — Chodź, opowiesz nam, co wiesz o Mozambiku. Ale przy tablicy, żeby ci koledzy nie przeszkadzali.

I opowiedziałam. Była to moja pierwsza piątka od bardzo długiego czasu.

Piotr Andrejew

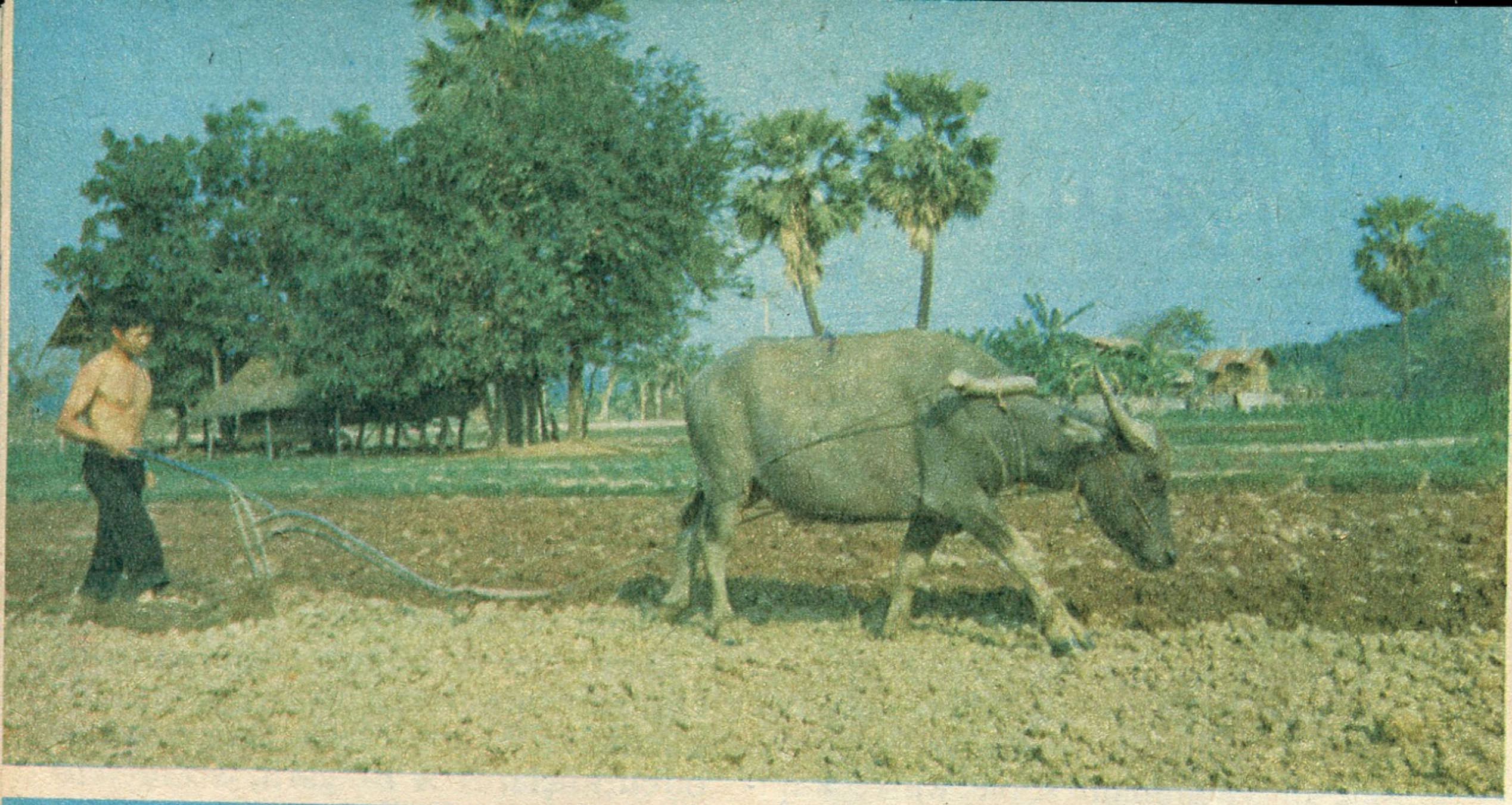

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

Z LAOSU

Zabawy dzieci

W Polsce lato już dawno minęło, a ja chcę wam opowiedzieć o słonecznym Laosie — kraju położonym w południowo-wschodniej Azji.

Laos jest pełen słońca, zieloności drzew, zapachu wspaniałych owoców. Niemal przez cały rok można tu zrywać z drzew żółte i zielone banany, wilgotne od soku owoce mango, wielkie, podobne do dyni, pomarańczowe papaje, aromatyczne ananasy i wiele innych, których my, mieszkańcy Europy, ani smaku, ani nawet nazw nie znamy.

Życzliwość Laotańczyków zauważa się na każdym kroku. Z sympatią wspominam spacery z moim małym synkiem po ulicach laotańskiej stolicy, Vientiane. Towarzyszył nam zawsze radosny okrzyk małych mieszkańców tego kraju:

— Falang noi! Falang noi! Białe dziecko! („Falang" znaczy po laotańsku „biały człowiek", a „noi" to „mały"). I zaraz wokół naszego Maćka zbierała się gromadka kruczowłosych, uśmiechniętych przyjaźnie malców.

Czym bawią się mali Laotańczycy? Prawdziwe zabawki, kupione w sklepie, może mieć niewielu. Są one bardzo drogie. Większość

dzieci doskonale bawi się na przykład witkami lub prętami bambusa, i można je dosiadać jak konia, wykorzystać jako szpadę czy pistolet, a wskutek niezwykłej elastyczności tego drzewa, zwinąć w kółko. A kółko przydać się może dosłownie — do wszystkiego. W Laosie, chyba tak jak na całym świecie, dzieci grają też w klasy, skaczą przez skakankę, bawią się w berka i w chowanego.

Jedną z najbardziej typowych, a zarazem ulubionych zabaw laotańskich dzieci jest przejażdżka na bawole. Bawoły, choć z wyglądu raczej przypominają krowy, pełnią funkcję zbliżoną bardziej do funkcji konia, gdyż służą jako siła pociągowa przy orce czy do przewozu towarów i ludzi. Często spotkać można w Laosie, nawet w samej stolicy, dzieci urządzające wesołe wyścigi na bawołach. Siadają na ich grzbietach nawet we trójkę czy czwórkę. Każda taka „załoga" pogania to ociężałe i niezgrabne zwierzę uderzeniami bosych pięt, starając się tę gonitwę wygrać.

Oczywiście, takie zabawy najlepiej udają się w okresie wakacyjnym, kiedy jest więcej wolnego czasu i więcej ochoty na psoty i figle.

Ale nie przez całe wakacje można odpoczywać. Ten okres poświęcony jest wielu pracom związanym z uprawą ryżu. A ponieważ są one bardzo uciążliwe (wymagają stania po kolana w wodzie), nic więc dziwnego, że

z pomocą śpieszy każdy, nawet kilkuletnie dzieci. Ryż jest bowiem dla Laotańczyków tym, czym dla nas... chleb i ziemniaki razem wzięte. To podstawowy artykuł spożywczy.

Tekst: Wanda Samborska
Zdjęcia: Wanda i Tadeusz Samborscy

TY I SAMOCHÓD

Jesień i zima to pory roku, które sprawiają kierowcom najwięcej trudności w prowadzeniu pojazdów. Szybko wówczas zapada zmrok i o godzinie 17 jest już ciemno. Choć kierowcy zapalają światła reflektorów, trzykrotnie więcej wypadków na drogach występuje o zmroku niż w dzień.

Najbardziej zagrożeni są piesi i jadący rowerami. Pomimo zapalonych reflektorów kierowca może ich nie zauważyć, tym bardziej, że piesi, a często i rowerzyści, nie mają świateł. Toteż, aby być widocznym na drodze, pieszy powinien nieść ze sobą latarkę elektryczną. Jeśli idziemy poboczem drogi i nie chcemy stale używać światła latarki, aby bateria nie wyczerpała się zbyt szybko, zapalamy latarkę w chwili, gdy zauważymy zbliżający się samochód. Oczywiście należy to zrobić wówczas, kiedy pojazd jest jeszcze daleko, aby kierowca dość wcześnie dostrzegł światło.

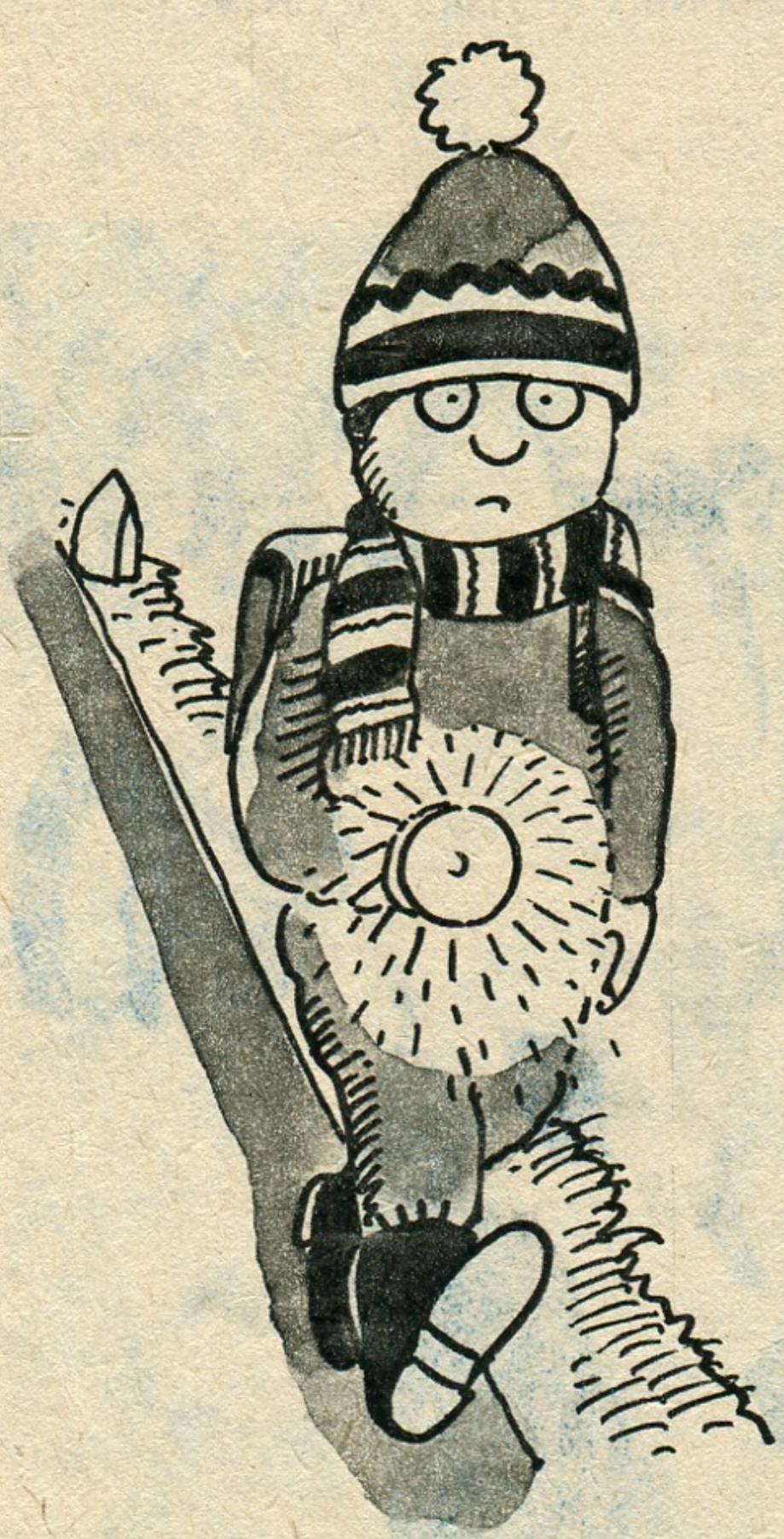

W sprzedaży znajdują się już różnego rodzaju odblaski, np. w postaci breloczków i plakietek, które można przymocować do kurtki czy palta, aby być lepiej widocznym na drodze.

Najtrudniejszym momentem dla kierowców jest mijanie się pojazdów z zapalonymi światłami. Kierowcy zmieniają wówczas długie światła na światła mijania, zwane też światłami krótkimi.

W chwili, gdy kierowcy dojeżdżają do siebie na bliską odległość, oślepiają się wzajemnie i nie widzą, co się dzieje na jezdni. Wówczas nie zauważą też naszej świecącej latarki. Takie momenty są najniebezpieczniejsze. Wiedząc o trudnościach, jakie napotykają kierowcy dwóch pojazdów jadących z przeciwnych kierunków, pieszy koniecznie powinien zejść z drogi i zatrzymać się na poboczu.

Rowerzyści, jadący o zmroku, powinni pamiętać o najważniejszym przepisie: ich rower musi być koniecznie oświetlony. Powinien mieć białe światło z przodu i czerwone z tyłu.

Oprócz szybko zapadającego zmroku, w jesieni i w zimie czyhają też na kierowców inne niebezpieczeństwa. Często wówczas występuje mgła, pada deszcz lub śnieg. Wszystko to znacznie utrudnia obserwację drogi. Jadąc w takich warunkach kierowca szybko się męczy, ma zwolnioną reakcję.

W czasie mgły widoczność przed samochodem wynosi zaledwie kilkanaście, a nawet niekiedy tylko kilka metrów. Toteż przy gęstej mgle niebezpiecznie jest iść nawet poboczem drogi. Może zdarzyć się, że kierowca zbyt późno zauważy nadjeżdżający z przeciwnej strony samochód, gwałtownie skręci na prawą stronę i wjedzie na pobocze drogi.

Idąc drogą bezpośrednio po deszczu odskakujemy w bok, kiedy jedzie po mokrej nawierzchni samochód, aby nas nie pochlapał. Podobnie powinniśmy uczynić, gdy droga jest ośnieżona lub oblodzona. Śliska nawierzchnia to jeszcze groźniejsze niebezpieczeństwo niż błoto i woda. Samochód jadący po ośnieżonej lub oblodzonej drodze nie może się nagle zatrzymać. Jeśli kierowca gwałtownie naciśnie pedał hamulca, koła samochodu zostaną zablokowane i przestaną się obracać.

Pojazd zacznie się ślizgać na zablokowanych kołach jak sanie.

Dla łatwiejszego zrozumienia, jak niebezpieczna jest śliska nawierzchnia, podamy przykład.

Samochód jadący po suchej nawierzchni, z prędkością 50 km, może zatrzymać się na 30 metrach od momentu zahamowania. Na oblodzonej drodze, przy prędkości 50 km na godz., pojazd zatrzyma się dopiero po przejechaniu 78 metrów. A więc 2 i pół raza zwiększa się długość drogi hamowania samochodu na śliskiej nawierzchni.

Przechodząc przez mokrą lub oblodzoną jezdnię trzeba dobrze upewnić się, czy nie nadjeżdża samochód.

Najlepszy kierowca, nawet wyścigowy mistrz świata Niki Lauda, nie zdoła zatrzymać samochodu natychmiast. Im nawierzchnia drogi jest bardziej śliska, tym droga hamowania będzie dłuższa.

Oprócz wydłużonej drogi hamowania ze śliską nawierzchnią związane jest jeszcze drugie niebezpieczeństwo. Często się zdarza, że jadący samochód nagle wpada w poślizg, bokiem sunie na pobocze drogi, a kierowca traci panowanie nad pojazdem.

Wszystkie przedstawione sytuacje występują, jak już zaznaczyliśmy, szczególnie na jesieni i zimą. Jest to okres trudny dla kierowców, a bardzo niebezpieczny dla pieszych. Toteż musimy ograniczyć chodzenie poboczem drogi. Znacznie bezpieczniej będzie, gdy wybierzemy polną drogę, nawet jeśli wypadnie nam iść w głębszym śniegu lub po błocie.

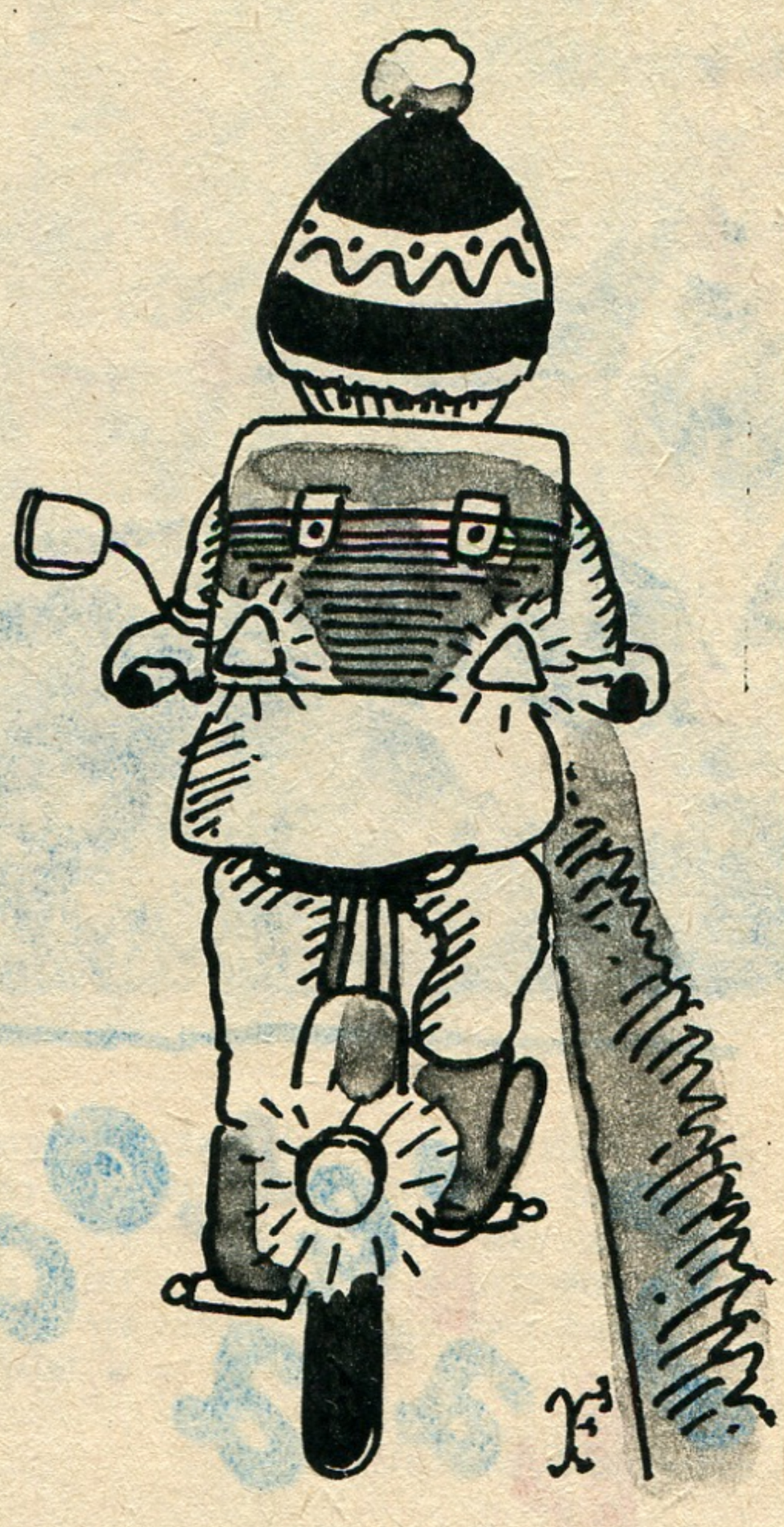

Zdzisław Podbielski

Rys. Jerzy Flisak

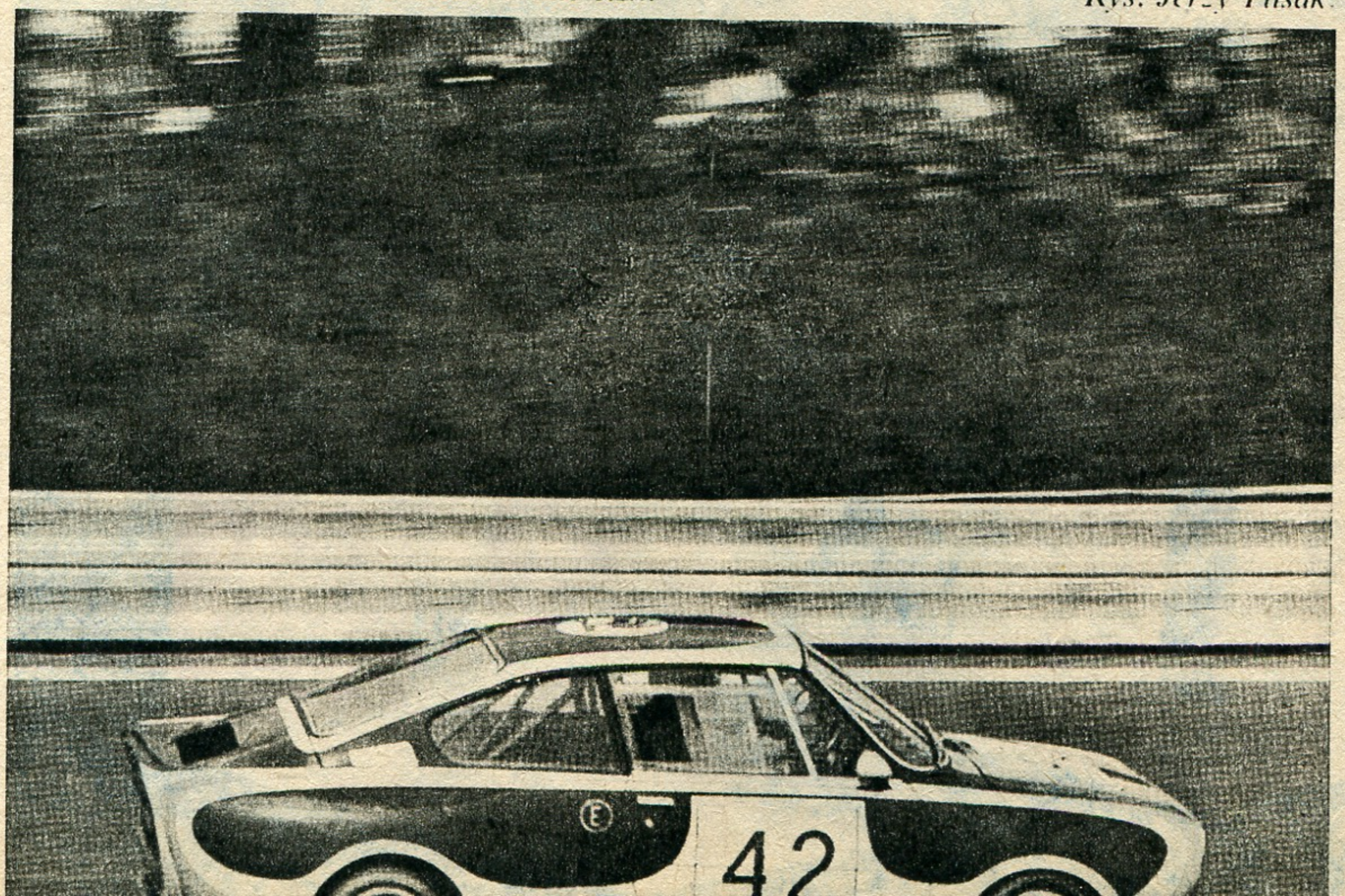

Świetlica

Latawce

Wystarczy odrobina wiatru, długi sznurek i trochę papieru. I już jest wspaniała zabawa. Latawiec. Zresztą, któż z nas go nie zna!... Zamiast papieru można też użyć cienkiej sklejki, listewek, mocnej bibuły. Można zrobić latawca — prawdziwe arcydzieło!

Oglądaliście zapewne japońskie latawce w kształcie smoka, ptaka, a nawet kwiatu orchidei. Nasze latawce też wykazują (patrz zdjęcia) wiele pomysłowości. Prawda?

Dwadzieścia parę lat temu tradycyjne jesienne zabawy z latawcami stały się poważną

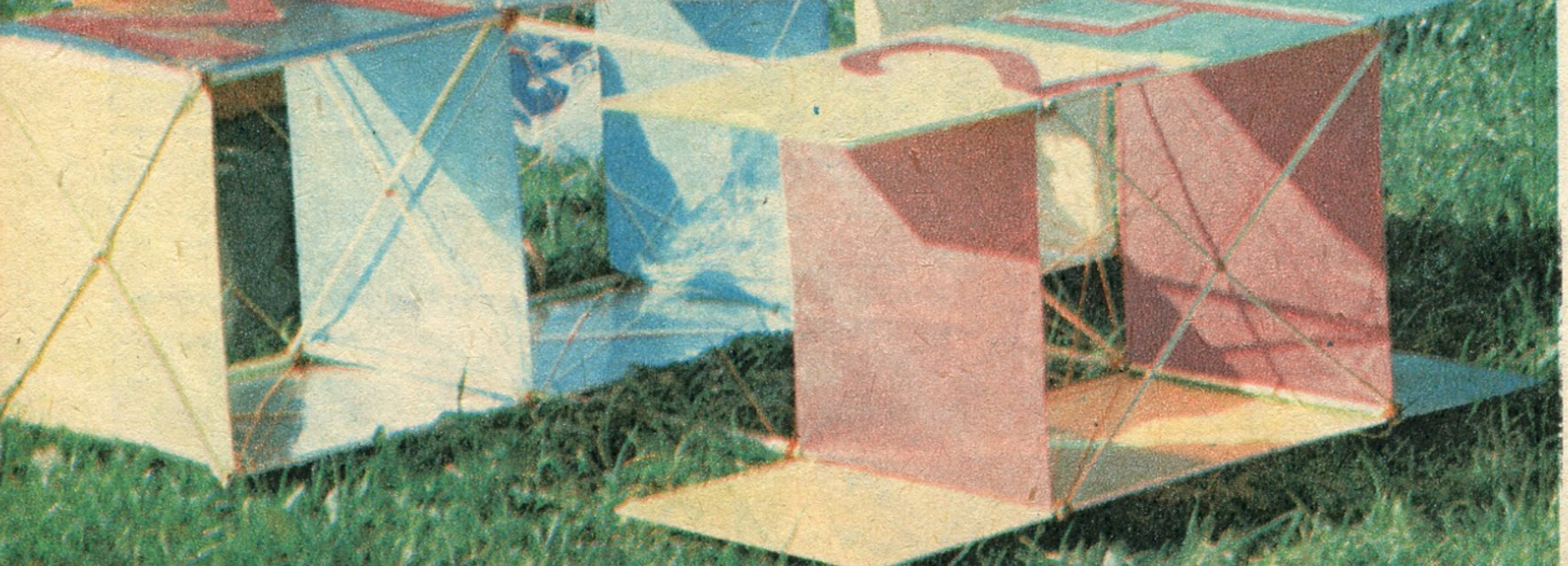

imprezą ogólnopolską. Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem" wraz z aeroklubami organizuje coroczne jesienne święto latawca. Zawody odbywają się w dwóch kategoriach: latawców płaskich i skrzynkowych. Oceniana jest pomysłowość i wykonanie latawca oraz wysokość lotu.

Czy wiecie, że jeden z latawców poszybował aż na wysokość 890 m, a więc prawie kilometr od ziemi!

W wyniku zawodów posypały się medale, dyplomy, wyróżnienia i nagrody — tak jak na innych poważnych zawodach. Ale nawet pechowcy, którzy odjeżdżali z przysłowiowym kwitkiem, stwierdzili zgodnie, że zabawa była wspaniała!

Jolanta Zdanowska

Fot. Jacek Łopuszyński

CZTERY KOTY

Zeszły się cztery koty
Z czterech różnych stron świata.
Jeden pochodzi z Mrukoty,
Drugi z Górnej Dachoty,
Trzeci z miasta Myszkowa
(Zaraz obok Kotkowa),
A czwarty z wyspy Drapata.

Rozsiadły się w czterech fotelach
I rozpoczęły rozmowę
O kocich celach,
Kocich fortelach
I o tym, czy myszy surowe
Są zdrowe?

Przez całe rano tak gadały,
Przez popołudnie,
Przez wieczór cały,
Co najdziwniejsze jednak, zaznaczam,
Obywały się bez tłumacza.
Wszystko, co chciały, przekazywały
Przez jedno miau
Albo dwa miauy.

Z tego wynika, moi złoci,
Że z wszystkich na świecie języków,
Najłatwiejszy jest język koci.
Brak tylko do niego
Podręczników.

Rys. Zdzisław Byczek

Ludwik Jerzy Kern

KONKURS
„UZASADNIJ lub NARYSUJ” — rozstrzygnięty

NA TEN KONKURS, STANOWIĄCY DALSZY CIĄG KONKURSU **„CHCEMY POKOJU”**, NAPŁYNĘŁO OKOŁO 2 TYSIĘCY SZEŚCIUSET PRAC (2 TYSIĄCE PLASTYCZNYCH I OKOŁO 600 WYPOWIEDZI).

Jury w składzie: **Hanna Ożogowska** (przewodnicząca), **Teresa Wilk-Białożej** (sekretarz jury) i **Zdzisław Byczek** (członek jury), przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

NAGRODY W DZIALE PRAC PLASTYCZNYCH:
Renata Chmiel — Szkoła Podstawowa nr 297 im. Bolesława Prusa, Warszawa; Waldemar Kozek — Skokowa; Jakub Grzegorek — Szkoła Podstawowa nr 1, Radzymin;

WYRÓŻNIENIA W DZIALE PRAC PLASTYCZNYCH:
Stefan Jaworski, Eliza Łątowska, Wioletta Opala, Dariusz Skoczeń, Małgorzata Ślusarz — Szk. Podstawowa nr 297 im. Bolesława Prusa, Warszawa; Beata Borysewicz — Szk. Podstawowa nr 2 Gorzów Wlkp.; Patrycja Białobrzeska — Brwinów; Ania Halt — bez adresu; Kinga Kosierkiewicz, Ewa Kowal — Szk. Podst. nr 1, Rybnik; Agnieszka Kwaśniewska, Szk. Podst. im. mjra H. Sucharskiego, Resk; Katarzyna Leja — Zabrze; Agnieszka Mielczarek, Małgorzata Jabłońska, Beata Turowska — Szk. Podst. nr 33, Lublin; Aneta Pala, Szklarka Przychodzicka; Mariusz Rębelski — Szk. Podst. nr 1, Radzymin; Ola Sadowska — Szk. Podst. nr 2, Choszczno, Paweł Sołyga — Osiek, woj. kaliskie;

NAGRODY W DZIALE WYPOWIEDZI (za wypowiedzi wierszem):
Agnieszka Straszak — Załęże; Kasia Cyran — bez adresu;

WYRÓŻNIENIA:
Ania Bąk — Szk. Podst. Dziadkowice; Kornelia Barwińska — Dębówko Nowe, woj. pilskie; Uczniowie z klasy V[c], Szk. Podst. Borowiczki, woj. płockie.

Wszystkie nagrodzone i większość wyróżnionych prac zostaną opublikowane w „Płomyczku”.

NIECH BĘDZIE POKÓJ

Niech będzie pokój
na świecie,
niech będzie zawsze.

Ci, którzy strzegą pokoju,
są święci.

Kasia Cyran, 11 lat

POKÓJ

Dzieci różnych narodów
białe, czarne i czerwone
chcą:
aby były jednakowo kochane,
aby mogły iść spokojnie
do szkoły i domu.

Agnieszka Straszak, lat 12 i pół

1

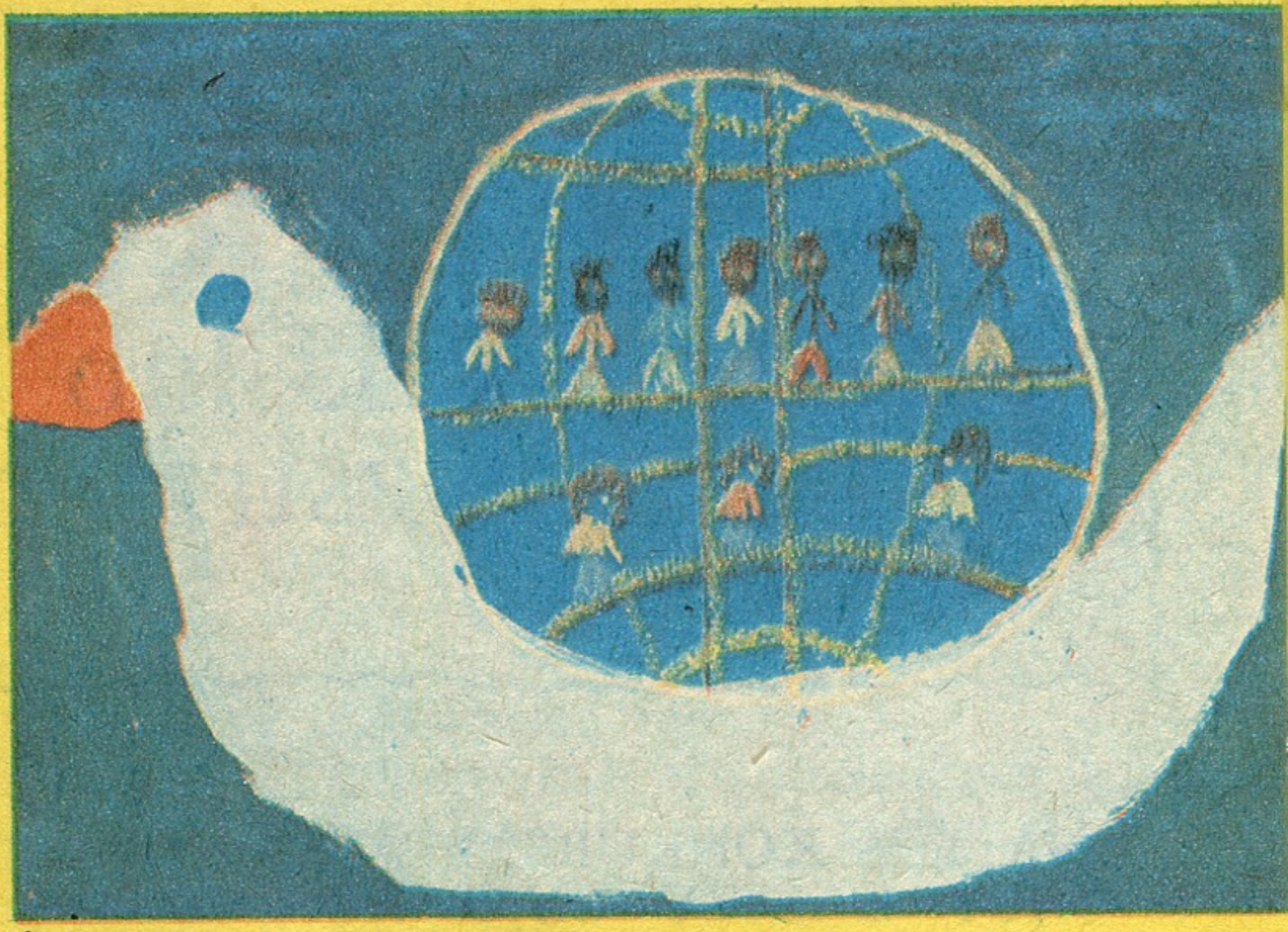

3

1. *Waldemar Kozek*
2. *Jakub Grzegorek*
3. *Renata Chmiel*
4. *Wioletta Opala*
5. *Aneta Pala*

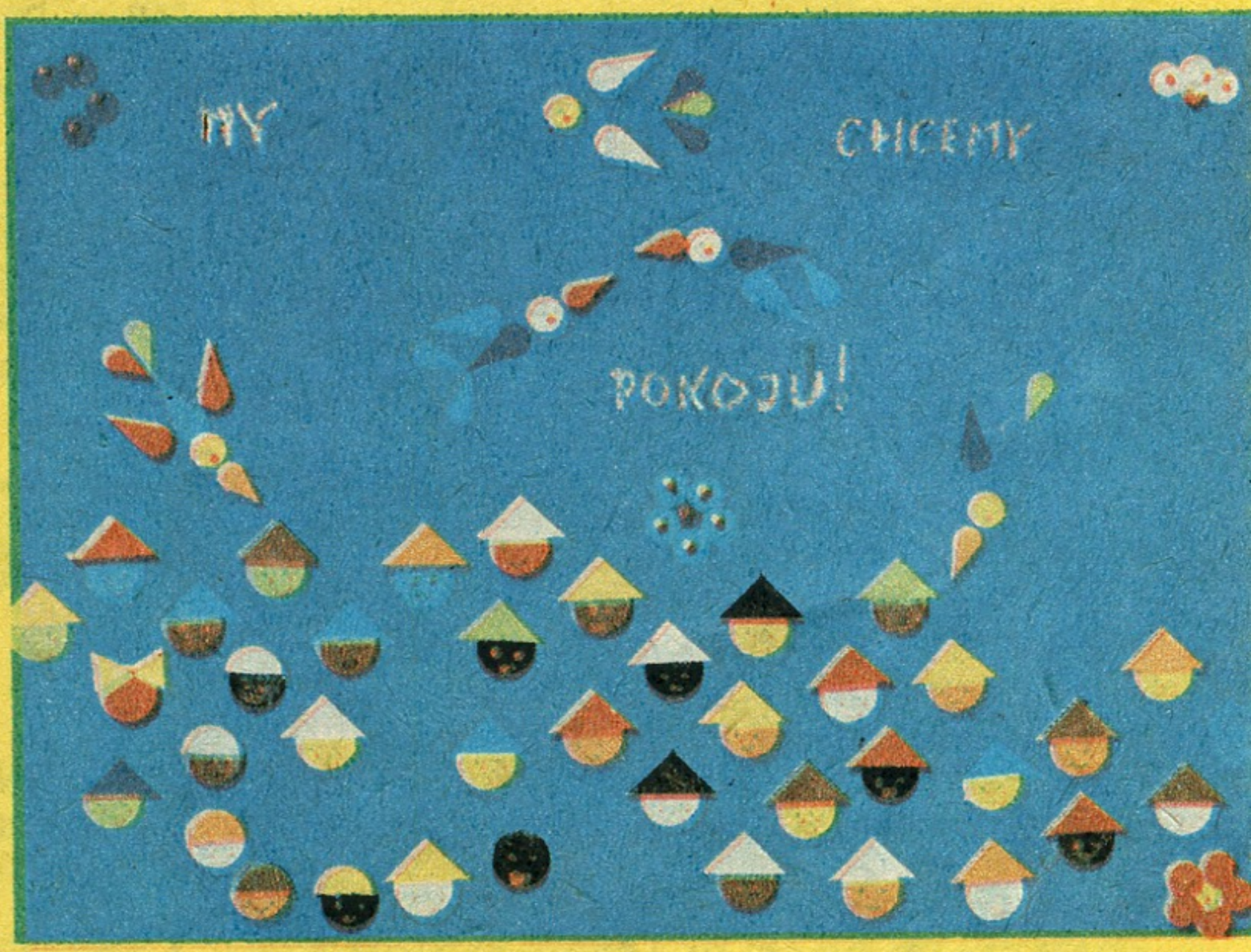

2

4

5

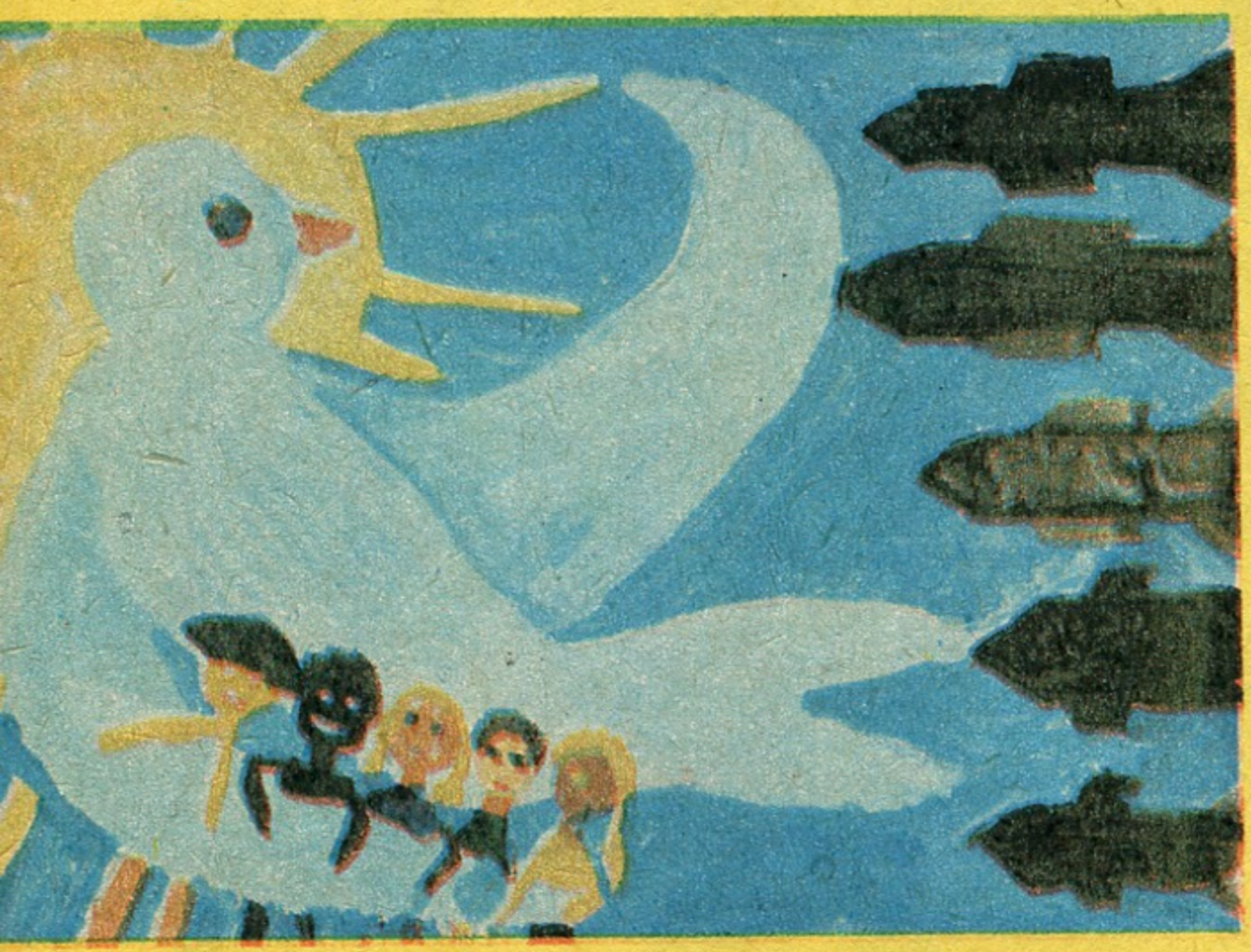

6

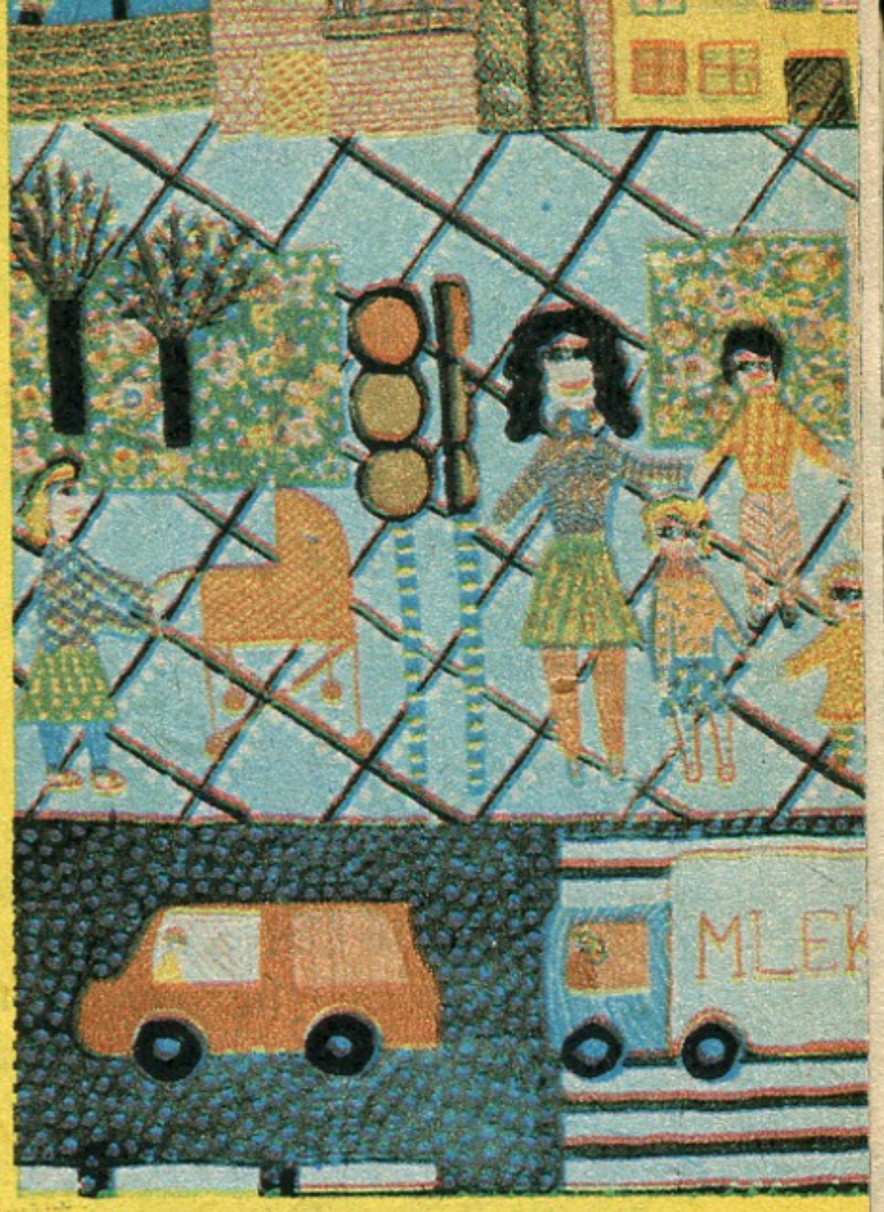

9

7

6. *Stefan Jaworski*
7. *Beata Borysewicz*
8. *Kinga Kosierkiewicz*
9. *Beata Turowska*
10. *Dariusz Skoczeń*

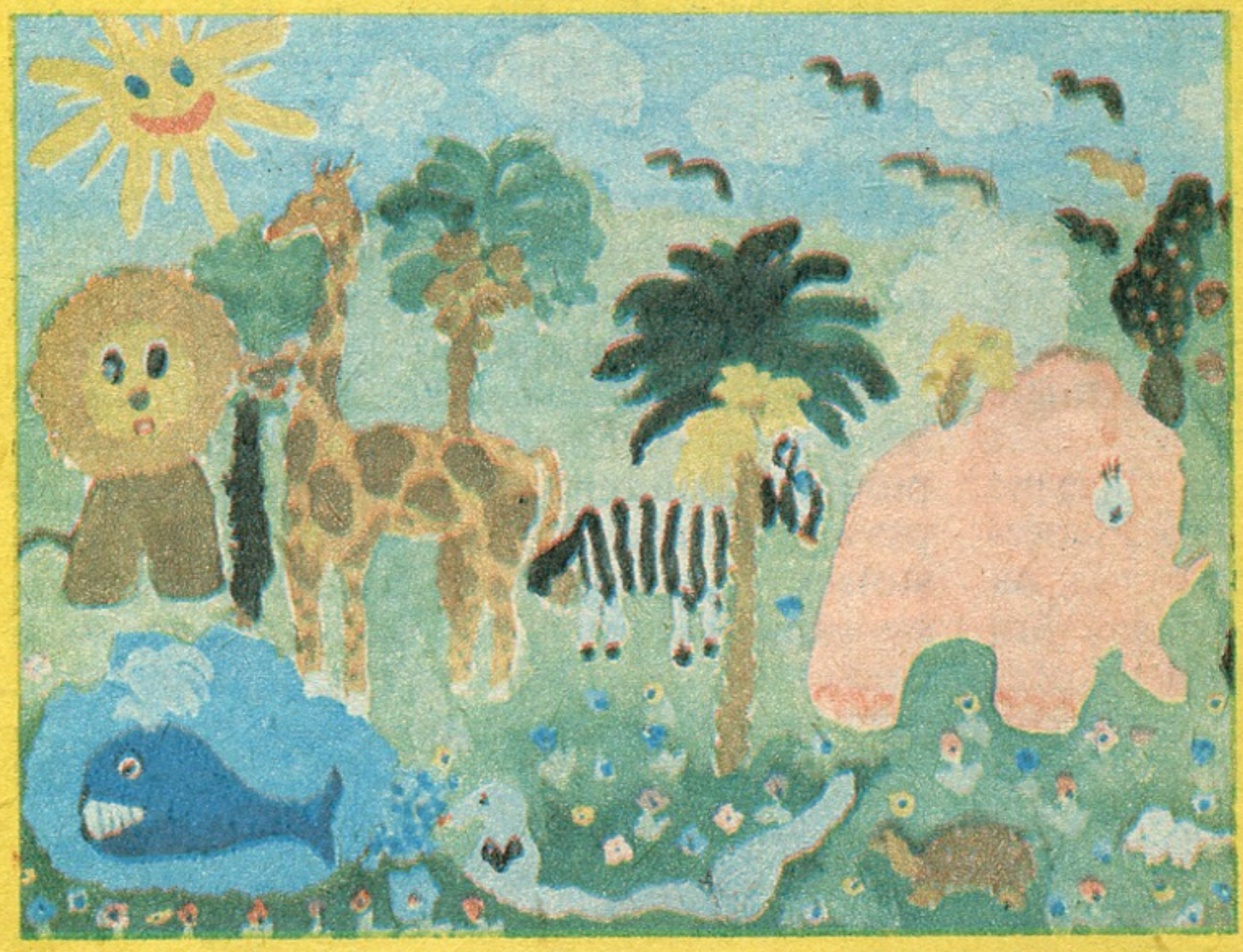

8

10

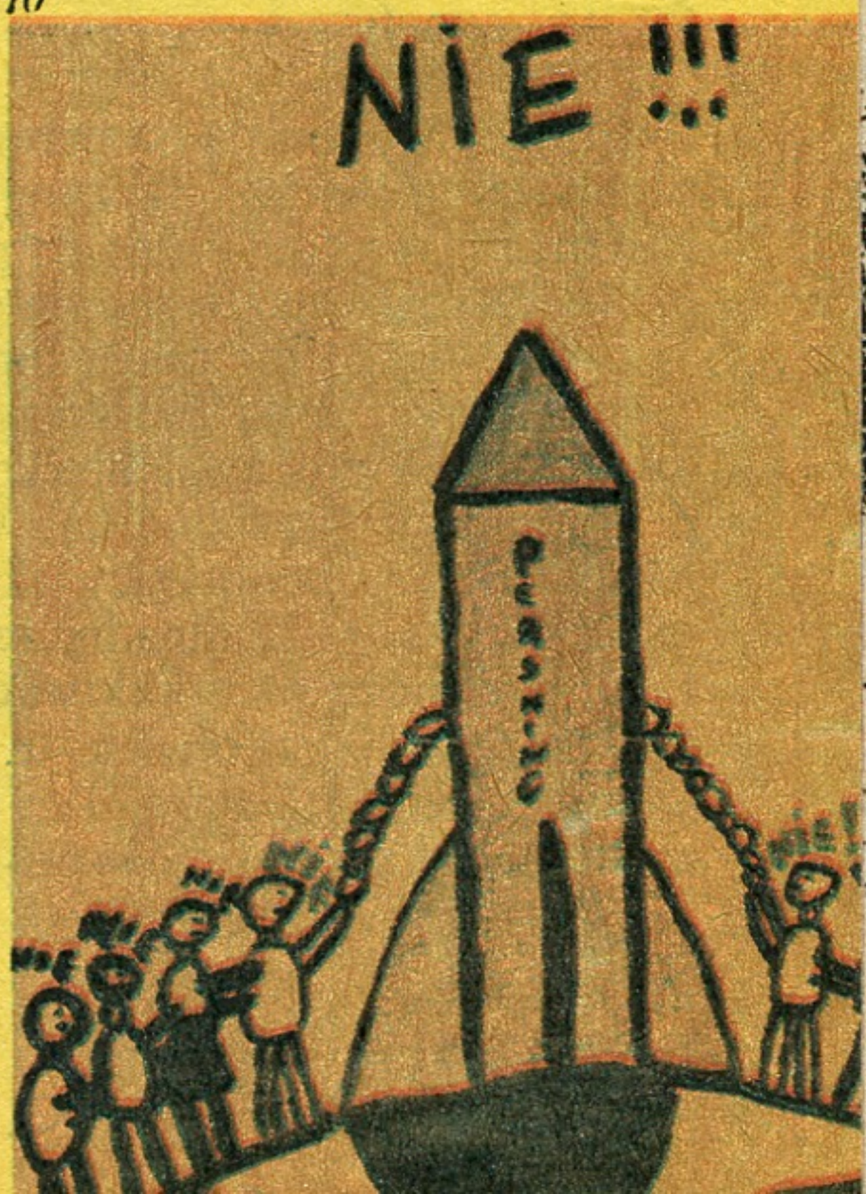

SZACHY

Prawidła gry

Grę w szachy prowadzą dwie strony na kwadratowej planszy, zwanej szachownicą, składającej się z 64 pól na przemian — czarnych i białych. Grę zaczyna ten, kto ma białe figurki. Figury i piony, zwane bierkami, są dwóch kolorów — białe i czarne. Szachownicę ustawia się tak, aby grający mieli po prawej ręce narożne pole białe.

Każdy z grających ma do swojej dyspozycji 8 figur i 8 pionów, które oznaczamy tak: król — K, hetman — H, wieża — W, goniec — G, skoczek — S (zawsze dużą literą). Tylko piony są bezimienne i oznaczamy je nazwami pól, na których stoją lub na które pójdą. Pola szachownicy oznaczane są u dołu (lub u góry) literami, a z boków — cyframi. Np. Ke1-e2, Hd2-d5, Sb1-c3, c2-c4, oznacza to, że król z pola e1 poszedł na pole e2, hetman z d2 na d5, skoczek z b1 na c3, pionek natomiast (bezimienny) stojący na polu c2 poszedł na pole c4. Zapis taki nazywamy notacją pełną (Hd2-d5) lub skróconą (Hd5) bez oznaczania pola wyjściowego i służy do zapisywania przebiegu partii i późniejszego jej odtwarzania.

Celem gry jest danie **mata** królowi przeciwnika, tj. doprowadzenie do takiej pozycji, w której zaatakowany król, czyli znajdujący się pod **szachem** (szach — każda sytuacja, w której król jest bezpośrednio zagrożony), nie ma możliwości obrony.

Ogólne zasady gry

Grający wykonują na przemian po jednym ruchu jedną bierką. Zaczynają zawsze białe. Nie można wykonać dwóch posunięć na raz, nie można również zrzec się posunięcia.

Żadna bierka nie może stanąć na polu już zajętym przez inną bierkę tego samego koloru. Można postawić bierkę na pole zajęte przez bierkę przeciwnika, którą wówczas zdejmujemy z szachownicy jako zbitą. Bicie nie jest obowiązkowe. Żadna figura — prócz skoczka — nie może przeskakiwać przez pole, na którym stoi jakakolwiek inna (własna lub nieprzyjacielska) bierka. Ten przywilej skoczka tłumaczy się jego nietypowym kierunkiem ruchu. Nie wolno cofać posunięć. Jeśli grający dotknął jakiejkolwiek bierki, musi nią wykonać posunięcie, nawet złe, ale oczywiście zgodne z przepisami gry. Jeśli po wykonaniu posunięcia odjął rękę, nie może już postawić bierki na inne pole, chyba że w następnym posunięciu. Dotknięcie i ruch bierki uważa się za niebyłe, jeśli nie można wykonać nią posunięcia zgodnego z prawidłami gry.

Jeśli bierka stoi na polu źle (nierówno), mówi się: **poprawiam** i dopiero wtedy poprawia, oczywiście po swoim posunięciu, aby nie przeszkadzać partnerowi przy obmyślaniu jego posunięcia.

Ruchy bierek

HETMAN może poruszać się w 8 kierunkach (poziomych, pionowych i skośnych) na na dowolną odległość, o ile ma wolną drogę.

WIEŻA może poruszać się w 4 kierunkach (poziomych i pionowych) — również na dowolną odległość.

GONIEC jest trzecią dalekosiężną figurą. Może poruszać się w 4 kierunkach, tylko po liniach ukośnych białych lub czarnych (każda ze stron ma 2 gońce — czarno- i białopolowego.

SKOCZEK, w przeciwieństwie do poprzednich figur, nie może poruszać się na dowolną odległość, ma wymierzony ruch. Np. z pola „b1" skoczek może pójść na pola „a3", „c3" lub „d2". Z pola „a1" może pójść tylko na pola „c2" i „b3". Skoczek może bić obce bierki tylko na tych polach, na których może stanąć zgodnie z prawidłami gry.

PION (PIONEK) posuwa się tylko do przodu i tylko po linii pionowej po jednym polu. Jedynie przy wykonywaniu swego pierwszego posunięcia, pion może pójść naprzód o jedno lub dwa pola, w zależności od uznania grającego. W następnych posunięciach może iść wyłącznie o jedno pole dalej, bez względu na to, czy w pierwszym posunięciu poszedł o jedno czy o dwa pola.

Pion jest jedyną bierką, która nie bije na linii swego ruchu. Przy biciu zmienia swoją pionową kolumnę na kolumnę z lewej lub prawej strony. Np. e4:f5 oznacza, że pion stojący na polu e4 pobił bierkę stojącą na sąsiedniej kolumnie, na polu f5. Często bicie oznacza się e4 × f5 (jest to tzw. notacja pełna, przy notacji skróconej piszemy tylko ef5).

Ciekawym przywilejem piona jest możliwość tzw. **bicia w przelocie**. Pion idący ze swego początkowego miejsca o dwa pola może być pobity przez obcego piona w taki sposób, jak gdyby wykonał ruch nie o dwa tylko o jedno pole. Np. pionek biały stoi na polu „g2", czarny zbliżył się do szeregów białych i znajduje się już na polu „f4". Białe przy swoim posunięciu g2-g4 przechodzą przez pole („g3") rażenia czarnego piona i może on wówczas (nie musi) w odpowiedzi zdjąć białego piona z pola „g3" (w domyśle) i postawić tam swego piona. Ale tylko bezpośrednio po tym posunięciu. Później już traci się to prawo.

Piony mają jeszcze jedno prawo, raczej przywilej (jednak obowiązkowy) przemiany w dowolną (w zależności od uznania grającego) figurę po dojściu do ósmej (pierwszej) linii. Teoretycznie może być 10 wież, 9 hetmanów itd. Nie można w żadnym wypadku dorobić króla. Np. w pozycji, białe: Ke1, Sf1, p. d7; czarne: Kf5, p. e2, białe mogą zagrać d7-d8 i postawić na tym polu dowolną figurę (z wyjątkiem białopolowego gońca). Czarne natomiast nie mogą postawić swego piona na polu e1 (jest ono blokowane), ale mogą pobić skoczka na polu f1 z jednoczesnym postawieniem na tym polu dowolnej figury.

Uwaga! Posunięcie uważa się za **nie zakończone**, jeśli na polu przemiany znajduje się pion nie zamieniony na dowolną figurę.

KRÓL — najważniejsza figura, o pojmanie której toczy się cała gra, ma dość ograniczoną swobodę ruchów. Może bowiem ze swego pola przesuwać się na dowolne sąsiednie pole, ale tylko o jedno miejsce. Król nie może wchodzić na pole znajdujące się pod działaniem jakiejkolwiek nieprzyjacielskiej bierki. Nie może więc również wchodzić na pola bezpośrednio sąsiadujące z królem przeciwnika.

Raz jeden w partii król ma prawo wykonania specjalnego ruchu, zwanego **roszadą**. Jest to łączny ruch króla i wieży. Przy roszadzie król przesuwa się w stronę wieży o dwa pola, a wieża przeskakuje króla i staje obok niego. Rozróżniamy roszadę krótką (z wieżą z linii „h") i długą (z wieżą linii „a"), muszą przy tym być spełnione pewne warunki.

Nie można wykonać roszady, gdy:

a) król lub wieża wykonały poprzednio jakieś posunięcie — choćby później powróciły na swoje miejsca;

b) między królem a wieżą znajduje się jakakolwiek figura własna lub obca;

c) król jest zaszachowany (po usunięciu zagrożenia, roszadę można wykonać);

d) przy wykonywaniu roszady król musiałby przejść przez pole zaatakowane przez obcą bierkę lub stanąłby na takim polu.

Zakończenie gry

Partię szachową kończymy w różny sposób:

a) matem, np. białe: Kc5, Gf6, Sh6; czarne: Kh8, Gh7, p. f7; białe dały mata czarnym:

b) patem, np. białe zakończyły partię: Kd1, We2, p. f2, g5; czarne: Kg6, Hc3, Gf3.

Pat kończy partię, którą uważa się za nierozegraną (remisową). Pat jest to taka sytuacja na szachownicy, kiedy strona na którą przypada posunięcie, nie może wykonać żadnego, zgodnego z prawidłami gry ruchu, a jej król nie znajduje się pod szachem (tutaj czarne). Pat bywa częstym ratunkiem strony słabszej, przy częstym braku uwagi strony silniejszej;

c) nierozegraną, w wyniku ugody obu partnerów, np. gdy na szachownicy pozostało niewiele bierek (np. przeciwnicy mają po jednym gońcu i po jednym pionku itd.);

d) w wyniku trzykrotnego powtórzenia pozycji, tzn. obie strony nie mogąc zdecydować się na konkretną kontynuację wykonują co najmniej trzykrotnie te same posunięcia;

e) tzw. wiecznym szachem. Strona słabsza ratuje się w ten sposób, że bez przerwy szachuje nieprzyjacielskiego króla nie mogącego tych szachów uniknąć.

W obu tych przypadkach następuje remis.

Marian Ziembiński
Fot. Stefan Rutkowski

Pomóżmy przyrodzie jesienią...

Październik — to już jesień, dnie bowiem są coraz krótsze i coraz mniej słońca. Większość roślin i wiele zwierząt znika z naszego pola widzenia. Nie widać już latających owadów, wiele ptaków odleciało, a takie zwierzęta, jak wiewiórki, chomiki, jeże i borsuki, zaszywają się w różnych kryjówkach i zasypiają. W górach zapadają w sen świstaki i niedźwiedzie, a w Lubelskiem i na Śląsku — susły.

Zasypiają także nietoperze.

Widujemy je letnimi wieczorami, jak zataczają koła w ostrym locie nad podwórkami,skwerami i placami. Teraz skryły się na strychach, w piwnicach, w dziuplach drzew leśnych, w górskich pieczarach i w wyrobiskach górniczych. Mało kto o tym wie, ale kilka gatunków nietoperzy, szczególnie dziuplaków, także odlatuje na południe, nieraz aż na odległość 2 tys. km.

ILE ICH JEST?

Nietoperzy żyje w naszym kraju 21 gatunków. Sporo gatunków trzyma się osiedli ludzkich, np. mroczek późny, który często występuje w miejskich zabudowaniach, a gacek szary i gacek wielkouch najchętniej trzymają się domów, ale domów starego typu. Nowoczesne, betonowe budownictwo raczej im nie odpowiada. Najwięcej nietoperzy osiedla się na poddaszach domów drewnianych, a także w ruinach, w starych fortach.

Rozpowszechniony u nas gacek wielkouch jest zupełnie maleńki — długość jego wynosi 4 1/2 cm. Najmniejszy z naszych nietoperzy jest karlik malutki, wielkości okazałej ćmy.

Ile jest nietoperzy, trudno określić. Wiadomo tylko na pewno, że jest ich co rok coraz mniej, i to nie tylko dlatego, że nie znajdują dla siebie miejsca, ale także dlatego, że w lasach jest coraz mniej starych, dziuplastych drzew.

DLACZEGO GINĄ?

Największym zagrożeniem dla nietoperzy jest chemizacja rolnictwa — szczególnie stosowanie pestycydów, czyli środków ochrony roślin przed bakteriami, grzybami czy gryzoniami.

Wiadomo, że pestycydy gromadzą się w tkance tłuszczowej zwierząt, a nietoperze całą zimę żyją kosztem zgromadzonego tłuszczu. Tłuszczu ubywa, a pestycydy pozostają. Stężenie ich w organizmie stale rośnie i zwierzątko ginie.

CZY WAŻNE JEST DLA NAS ŻYCIE NIETOPERZY?

Na ten temat pisze prof. Witold Koehler, znakomity znawca lasu: „...nietoperze to nasi najcenniejsi sojusznicy. Polując o zmroku trafiają na porę aktywności większości szkodliwych motyli, popularnie zwanych ćmami, do których należą barczatka sosnówka, strzygonia choinówka, brudnica mniszka, brudnica nieparka i inne". Szkodniki te występując masowo ogołacają drzewa iglaste z igieł, powodując śmierć setek i tysięcy hektarów lasu. Stosując przeciw owadom broń chemiczną — opylanie lasu insektycydami — powodujemy nie tylko zagładę szkodników, ale i wielu innych zwierząt: płazów, gadów, ssaków i ptaków. Opylanie jest także szkodliwe dla bydła i ludzi.

Istnienie nietoperzy, które wybiórczo niszczą właśnie te owadzie szkodniki, jest dla nas rzeczą wręcz bezcenną. Dlatego nietoperze muszą znaleźć dla siebie miejsce w lesie.

CO MOŻEMY ZROBIĆ?

Oczywiście, w tej sytuacji, gdy nietoperze giną, powinniśmy im pomóc, dostarczając siedzib. Zwyczajnych skrzynek, takich jak dla ptaków, tylko z podłużnym otworem szerokości do 1,5 cm, umieszczonym 5 cm od dołu skrzynki. Powinna ona być wykonana z nie heblowanego drewna i umieszczona co najmniej na wysokości 3 do 4 metrów od ziemi na północnej ścianie budynku lub w lesie. I to nie jedna, lecz kilka w niewielkim oddaleniu od siebie.

Elżbieta Kozłowska
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

CZY WIESZ,

CZY ZNASZ?

Ustalcie, która z trzech odpowiedzi jest prawidłowa. Jeżeli wykonacie to bezbłędnie, to wówczas sylaby znajdujące się obok tych prawidłowych odpowiedzi, czytane kolejno z góry na dół, utworzą hasło. Zapamiętajcie je dobrze!

1. Człowiek, który ulepsza pracę, to:
   a. myśliciel — PA
   b. racjonalizator — O
   c. mechanik — TE
2. Poznań leży nad rzeką:
   a. Odrą — LE
   b. Wisłą — RA
   c. Wartą — CZY
3. Ocieplenie następujące po mrozie to:
   a. odwilż — TA
   b. przymrozek — WI
   c. wiosna — SO
4. Stolicą Francji jest:
   a. Paryż — NI
   b. Wiedeń — LI
   c. Londyn — ZO
5. Chory, który poszedł do lekarza, to:
   a. kibic — RA
   b. klient — NIE
   c. pacjent — WIE
6. Ktoś, kto niszczy dobro społeczne, to:
   a. społecznik — PO
   b. szkodnik — LE
   c. zarozumialec — ZA
7. Najwyższy szczyt w Sudetach to:
   a. Śnieżka — WIE
   b. Sobótka — DO
   c. Turbacz — KRO
8. Najdłuższą granicę Polska ma z:
   a. NRD — WA
   b. ZSRR — JA
   c. Czechosłowacją — DZĄ

G. K.

Jaka to stolica?

Wymienione niżej nazwy stolic europejskich ułóżcie w takiej kolejności, aby pierwsze litery utworzyły nazwę jeszcze jednej stolicy.

ATENY, KOPENHAGA, MADRYT, OSLO, SZTOKHOLM, WARSZAWA

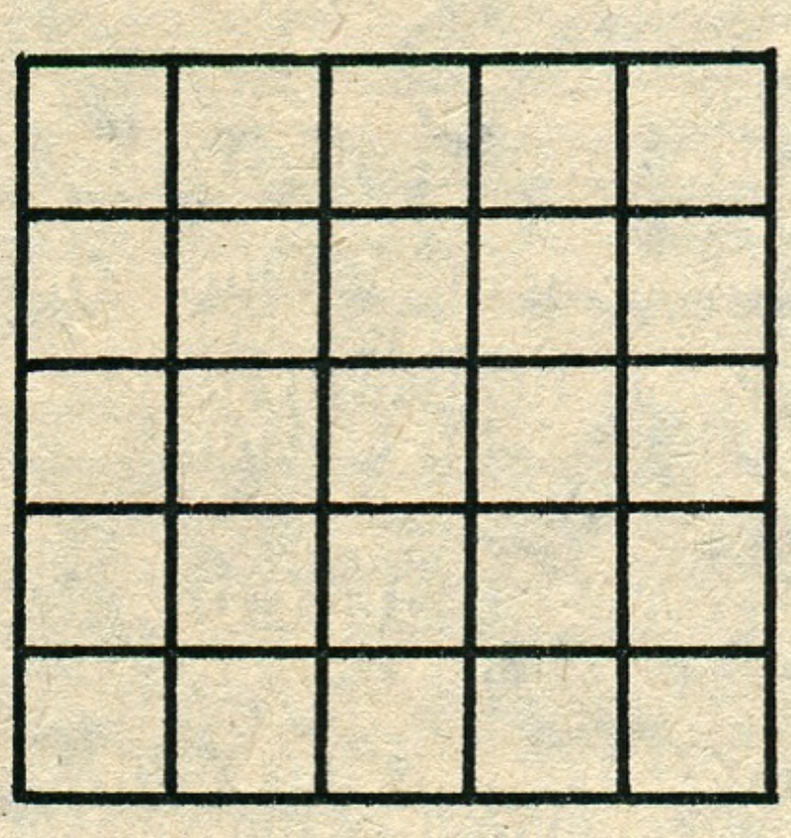

KWADRAT MAGICZNY

Do podanej figury wpiszcie 5 wyrazów pięcioliterowych o niżej podanych znaczeniach tak, aby można je było czytać jednakowo poziomo i pionowo.
1. skoczny taniec lub grzyb; 2. np. „Halka" S. Moniuszki; 3. pracuje w drukarni; 4. Najważniejsza część cyrku; 5. ryba słodkowodna.

Zagadka 1

Połowa słowa woła: jeść,
połowa słowa woła: ręko.
Co to jest? Odgadnij prędko.

W. S.

Zagadka 2

Trzonek i ostrze,
narzędzie najprostsze.
Co to jest?

W. S.

NASZ ZWIERZYNIEC

GACEK BRUNATNY WIELKOUCH

Gacek wielkouch kreśli niebo letnich wieczorów i nocy zygzakowatym lotem. Lata niemal bezszelestnie. Poluje na nocne motyle, których larwy niszczą lasy. Jest w naszym kraju pożyteczny i szanowany. Przez swe dziwactwo, że jest ssakiem, a lata, że ma skrzydła, a nie ma piór, wszedł do bajek i legend jako bohater. Kędzierzawe dziewczęta uciekały z przyzby do mieszkania w obawie przed nim, żeby nie wplątał się im we włosy. Coś podobnego mówią i o łasiczce, że zakrada się do stajni i onduluje koniom grzywy — czarodziejska fryzjerka. Nikt jednak nie widział dziewczęcia z nietoperzem we włosach ani konia z łasiczką na szyi.

Przedziwny jest ten gacek; trzy czwarte jego długości to uszy. Stwierdzono, że nietoperze polujące nocą na owady posługują się echolokacją, podobnie jak delfiny. Wydają one przez nos ultrapiski i wysyłają w dal. Piski te odbijają się od przeszkód, od owadów, i wracają do uszu nietoperza, w których są szalenie precyzyjne urządzenia rejestrujące te dźwięki. W ten sposób zwierzę ocenia odległość, która je dzieli np. od owada. Wysyłając ultradźwięki, nietoperz nie słyszy ich, bo w tym czasie silnym skurczem specjalnych mięśni zaciska sobie otwory w uszach.

Niektórzy ludzie słyszą część tych pisków, podobnych do tykania cichutkiego zegara. Pewne nocne ćmy wyczuwają ultradźwięki nietoperzy i same z kolei wysyłają podobne, zawierające pogróżki, których nietoperze boją się ogromnie i uciekają.

My mamy swoją mowę, telefony, radio i telewizję i czasami współczujemy zwierzętom, że są ubogie w dziedzinie porozumiewania się między sobą. Przykłady nietoperzy i delfinów oraz ciem odsłaniają nam jednak wielką tajemnicę życia, demonstrują jakiś następny zmysł, którego my nie mając, doznajemy upokorzenia, jak ludzie głuchoniemi lub niemuzykalni.

Profesor złapał się za głowę, gdy mi to wszystko wykładał:

— Kolego, gdybyśmy potrafili za pomocą specjalnych urządzeń wysyłać ultradźwięki odstraszające owady, to lasy i sady ochronilibyśmy przed ich inwazją.

— Tylko czym żywiłyby się nietoperze? — pomyślałem.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.

Zam. 2036/86 A-6
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

GACEK BRUNATNY WIELKOUCH

Fot. Wiktor Pawłowski i Michał Wlaziński

CENA 20 ZŁ